MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 19. WARSZAWA, 24 KWIETNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

PO OWOCACH...

PRASA sanacyjna w ostatnich kilkunastu dniach powraca do tematu „ajentur obcych“. Dzieje się to, mianowicie, w takiej formie, iż przy okazji niepowodzeń finansowych we Francji pomawia się półgębkiem niektóre polskie ugrupowania polityczne o konszachty nieprzyjazne dla rządu z odpowiedniemi kołami paryskiemi, pisze się o stosunkach z masonerją, o zależności od zagranicy i próbuje się stworzyć atmosferę, w której może ktośby uwierzył, że prawdziwie niezależną od międzynarodowych wpływów i związków, najbardziej samodzielną grupą polityczną w Polsce jest właśnie „sanacja“.

Wszelka dyskusja na temat obcych wpływów i rzeczywistej samodzielności politycznej — jako wielce pożyteczna — ze strony naszej zawsze i chętnie będzie podjęta. Przedewszystkiem jednak, zanim się przejdzie do uwag ogólniejszych, należy ustalić cechy istotne dzisiejszego położenia politycznego, które aktualność problemu zależności od zagranicy sprowadziło.

Polityka zagraniczna systemu pomajowego nie odznaczała się zbytnią dbałością o sojusz polsko-francuski, a niedopatrzenia, zaniedbania i zwykłe nieuprzejmości, poczynione w tej dziedzinie, należą tajemnic nikomu nie obcych. Być może iż ten lub ów świeżo upieczony dyplomata uważał właśnie lekceważenie dobrych i silnych sojuszników za objaw prawdziwej samodzielności i „mocarstwowej“ polityki. Jeśli z pewnością byli tacy, to niewątpliwie byli inni, którzy patrzyli na to mniej naiwnie. Jednakże „*quidquid agis, prudenter agas et respice finem*“ — czy linję swojej polityki francuskiej zdołano w tym „mocarstwowym“ duchu utrzymać? Zupełnie przeciwnie, dzieją się teraz rzeczy przykre i upokarzające dla każdego, kto najbardziej sobie ceni sojusz z Francją. Przy wtórze nieprzyjemnej pogawędki przedwyborczej w paryskich dziennikach na temat wewnętrznych stosunków w Polsce, „mocarstwowcy“ zabiegają gorliwie i pokornie o parę łaskawych miljonów z francuskiej kieszeni. Zabiegają gorliwie, zapewne nieumiejętnie, ale w każdym razie z małym skutkiem.

I oto równocześnie dzieje się w Polsce rzecz dziwna. Bez żadnej dobrej przyczyny w zakresie polityki wewnętrznej, po rozpuszczeniu sejmu na ferje i z pełnomocnictwami w ręku urządza się konferencje z byłym premjerem, dawno popadłym w niełaskę prof. Bartlem. Dlaczego? Wszak p. Bartel nie zna się na sprawach gospodarczych, tylko na geometrji wykreślnej, nie reprezetuje żadnej jawnej i wyraźnej grupy politycznej i tyle tylko o nim wiadomo, że jest zwolennikiem rządów parlamentarnych i konstytucyjnych, oraz tyle, że nie był w rządzie za czasów Brześcia. Do czegóż jest potrzebny niezwyciężonym pułkownikom?

Najlepszą obroną jest atak. Nie trzeba wielkiej domyślności, aby zrozumieć, że motyw „ajentur obcych“ wypłynął w okresie, kiedy się samemu rozpoczyna pewne wewnętrzne operacje i zabiegi personalne pod naciskiem poglądów zagranicy, której pomoc uważa się za konieczną w dziedzinie finansów i nie umie się samodzielnie wyjść z opresji.

Historja cała, ciekawa i aktualna, jest dobrym przykładem, oświetlającym problem samodzielności polityki polskiej.

Piłsudczycy pretendują do roli pierwszorzędnego czynnika w tym kierunku. Jest to tendencja

bardzo chwalebna i wśród pewnych ośrodków może zupełnie szczera. Trzeba jednakże porozumieć się co do tego, na czem polega rzeczywista samodzielność polityczna i stwierdzić wyraźnie, że w tej dziedzinie właśnie nie wystarczy tylko dobra wola, tylko pobożne, najpoczciwsze życzenie — a nawet energja najbardziej bohaterska i światoburcza.

Szczególnie tutaj nie wystarczy najlepiej chcieć. Trzeba bowiem wiedzieć, czego chcieć należy i nie być zależnym od podpowiadaczy, którzy, chcąc czego innego, a zdając sobie lepiej sprawę z łańcucha przyczyn i skutków, robią z dobrej woli naiwniejszych czynników broń skuteczną we własnem ręku.

Czynną rolę wśród dzisiejszego świata może odegrać tylko naród, który posiada myśl polityczną naprawdę samodzielną, czyli będącą wykładnikiem bezpośrednim jego celów, interesów i położenia, myśl kształtowaną i rozwijaną w środowiskach, niezakażonych wpływem niczyjej złej woli ani wrogiego, obcego podstępu i wreszcie myśl o tyle bystrą i silną, iżby zdolna była rozumieć zawiły splot dzisiejszego życia narodów, ocenić kierunek rozwoju sił i wyzyskiwać je dla dobra własnego państwa, nakreślić plan postępowania, który byłby nietylko wyrazem dobrej woli inicjatorów, ale naprawdę sprowadzał skutki, zgodne z zamierzeniami i dobre.

Politykę samodzielną poznaje się nie po zamiarach głoszonych, ale jedynie po jej owocach.

ZDZISŁAW STAHL

PROTEKCJONIZM A GOSPODARSTWO NARODOWE

CORAZ silniejszy wzrost protekcjonizmu, który obserwujemy w większości krajów europejskich i pozaeuropejskich, znajduje swój refleks również w dziedzinie myśli ekonomicznej, która, odrywając się stopniowo od tradycyjnych doktryn szkoły liberalnej, szuka teoretycznego uzasadnienia przemian, występujących w gospodarstwie narodowem.

Wśród tych prób zasługuje na zanotowanie ostatnia, — śmiała i oryginalna koncepcja ekonomisty rumuńskiego p. Manuilescu, wyłożona przezeń niedawno w głośnej już dziś pracy p. t. „Nowa teorja protekcjonizmu".

W jednym z zeszytów czasopisma „*Correspondance économique roumaine*", wydawanego przez rumuńskie ministerstwo przemysłu i handlu, ukazała się niedawno rozprawa p. Manuilescu (piastującego obecnie, jak się zdaje, tekę ministra przemysłu i handlu w swoim kraju) p. t. „Problem równowagi gospodarczej Europy", zawierająca szereg ciekawych uwag co do roli przemysłu i rolnictwa oraz wpływu obecnego kryzysu na sytuację krajów rolniczych i przemysłowych. Autor poddaje krytyce poglądy klasyków ekonomji społecznej, z Adamem Smith'em i Dawidem Ricardo na czele, w związku z problemem wymiany międzynarodowej.

Ekonomiści liberalni zalecają krajom o charakterze rolniczym, aby we własnym, dobrze pojętym, interesie specjalizowały się wyłącznie w kierunku eksportu rolnego, gdyż produkcja artykułów przemysłowych kalkuluje się dla nich gorzej niż zagranicą; taki podział funkcyj w obrocie międzynarodowym pomiędzy krajami o strukturze agrarnej i przemysłowej odpowiada obustronnym interesom i daje jednakowe korzyści kontrahentom. Powyższy pogląd ekonomji liberalnej, głoszony do dziś „*ex cathedra*" większości uniwersytetów europejskich, przysłużył się wybornie w praktyce interesom wielkokapitalistycznych krajów przemysłowych.

Gdy Anglicy w końcu XVIII wieku zaczęli rozwijać swój wielki eksport wyrobów bawełnianych, nie zaniedbali oni również (jak obrazowo wyraża się Manuilescu) dołączyć do pierwszych transportów towaru — egzemplarzy słynnego dzieła A. Smith'a — „O bogactwie narodów", tej biblji liberalizmu gospodarczego XIX wieku. Historja daje niejednokrotnie przykłady, że ofensywa ideowa toruje drogę ekspansji politycznej, względnie gospodarczej poszczególnych mocarstw. Tu również konstatujemy, że w ciągu XIX stulecia bogaci się głównie Anglja i niektóre inne kraje wielkoprzemysłowe, ciągnące wielkie zyski z eksportu swego przemysłu, gdy tymczasem poziom dobrobytu krajów rolniczych wzrasta w tempie bardzo powolnem.

We wskazaniach teorji liberalnej tkwi, zdaniem p. Manuilescu, jeden zasadniczy błąd: nieuwzględnia ona tego, że suma wartości, jaką wytwarza poszczególna jednostka (producent) w przemyśle, jest niewspółmiernie większa od tej, jaką wytwarza producent-rolnik. Spostrzeżenie to stosuje się zarówno do przedsiębiorstw jednostkowych, jak i do całych krajów, związanych systemem wymiany międzynarodowej.

Rozpiętość między wartością produkcji robotnika przemysłowego i rolnika jest nader różna w poszczególnych gałęziach produkcji, kształtując się jednak stale wybitnie na korzyść przemysłu: np. w Rumunji i Rosji przedwojennej, według obliczeń Manuilescu, suma wartości, wyprodukowanej przez jednego rolnika, wynosiła przeciętnie 500 fr. szw. w stosunku rocznym, gdy w niektórych gałęziach gospodarki przemysłowej tychże krajów analogiczna wartość rocznej produkcji wynosiła około 10.000 fr. szw. na głowę, była więc dwudziestokrotnie większa.

Jeszcze bardziej rażącym przykładem jest porównanie Rosji i Stanów Zjednoczonych: wartość rynkowa produkcji rocznej robotnika zatrudnionego np. w przemyśle chemicznym Stanów Zjednoczonych wynosi około 5000 dol., wartość produkcji rolnej jednego chłopa rosyjskiego wynosi około 90 dolarów. Innemi słowy 55 włościan rosyjskich musi pracować w ciągu roku, aby wytworzyć wartości wymienne, umożliwiające nabycie fabrykatów chemicznych, wytworzonych pracą jednego robotnika amerykańskiego.

W tej różnicy pomiędzy relatywną wartością produkcji rolnej i przemysłowej, której ekonomiści

szkoły liberalnej zdawali się niedostrzegać, tkwi, zdaniem Manuilescu, tajemnica „bajecznych fortun” wielkokapitalistycznych państw europejskich, przedewszystkiem — Anglji. Dobrobyt krajów przemywych stworzony został kosztem olbrzymiego wyzysku krajów rolniczych wschodnio-europejskich, głównie zaś kolonjalnych.

Wychodząc z powyższych przesłanek, ekonomista rumuński kostruuje teorję, będącą niewątpliwie oryginalnem zjawiskiem we współczesnej literaturze ekonomicznej: w przeciwieństwie bowiem dotychczasowych teoryj protekcjonizmu, wśród których najwybitniejsze miejsce zajmuje poglądy List'a i Carey'a, operujących pojęciem ceł t. zw. „wychowawczych”, Manuilescu traktuje cła protekcyjne jako trwały i konieczny element w systemacie narodowej polityki gospodarczej. Jego teorja protekcjonizmu przeciwstawia się zatem poglądom szkoły liberalnej, jako teorja dogmatyczna. Autor wyprowadza z niej szereg wniosków co do potrzeby industralizacji krajów rolniczych środkowo i wschodnio-europejskich: odpływ bowiem ludności wiejskiej do centrów miejskich przyśpiesza proces kapitalizacji w tych krajach, odznaczających się dziś jeszcze znacznem ubóstwem.

Wzrost nacjonalizmu gospodarczego, jaki obserwujemy obecnie na całym świecie, wywołuje coraz powszechniejszą falę protekcjonizmu, jaka ogarnia poszczególne państwa. Ta nowa psychologja w życiu gospodarczem znajduje ostatnio np. swój wyraz nawet w Indjach, w doktrynie polityczno-religijnej Gandhiego. Jesteśmy świadkami, twierdzi Manuilescu, załamania się tej kunsztownej struktury gospodarstwa międzynarodowego, jaką wytworzył wiek XIX, służącej w praktyce interesom krajów wielkokapitalistycznych, europejskich i pozaeuropejskich.

Jednym ze skutków kryzysu gospodarczego, jaki przeżywamy, będzie—twierdzi Manuilescu—nieuchronna degradacja roli naszego kontynentu w gospodarstwie światowem oraz stopniowe wyrównywanie pozycji krajów przemysłowych i rolnych europejskich w obrocie gospodarczym. Stopniowe zmniejszanie rozpiętości cen, jakie nastąpi między produkcją rolną i przemysłową, wpłynie dodatnio na sytuację rolnictwa.

Nie wchodzę tutaj w dalsze szczegóły interesujących poglądów wybitnego ekonomisty rumuńskiego, co do których krytyka fachowa wysunąć może zapewne niejedno zastrzeżenie. Niewątpliwie jednak omówiona pokrótce praca jest ciekawym przejawem fermentu pojęciowego, jaki odbywa się obecnie dokoła tradycyjnych założeń liberalizmu gospodarczego XIX wieku, w związku z coraz silniejszym krystalizowaniem się w świadomości dzisiejszych społeczeństw ideologji gospodarstwa narodowego.

STANISŁAW MIKLASZEWSKI

KRYZYS WOLNOŚCI WE WSPÓŁCZESNEM ŻYCIU SPOŁECZNEM

Z TRZECH haseł, wysuniętych przez Wielką Rewolucję francuską, wolność miała żywot bodaj najtwardszy w świadomości europejskiej XIX i zarania XX wieku. Co do równości, poza tępymi fanatykami i partyjnymi hipokrytami, nikt oddawna nie robił sobie złudzeń. Braterstwo zdawało się mieć lepsze gwarancje w chrześciańskiem średniowieczu, niźli w klasowo-rewolucyjnym wieku demokracji. Wolność jedna, najdłużej, była otoczona aureolą pewnego tabu, do którego się przystępowało nie bez lęku, jeśli się myślało wogóle o krytyce.

Tymczasem doba powojenna szeroką falą przeprowadza atak właśnie na koncepcję wolności. Symptomatyczne zjawianie się dyktatury w szeregu krajów starej Europy ma tu wymowę zrozumiałą i nawet jaskrawą. Ciekawsze jeszcze jest rozpatrzenie pewnych ukrytych i wstydliwych zamachów na wolność, jakie od czasu do czasu wykryć można w najlepiej, zdawałoby się, wolnościowo zagospodarowanych organizmach polityczno-społecznych.

Myślę tu o Francji.

Pozornie nie zmieniło się tam nic. Wszystkie instytucje wolnościowe, odziedziczone po XIX-ym wieku, istnieją dalej, z parlamentem złożonym z prawie tysiąca ludzi (600 + 300) i ogromnym aparatem prasowym, niezwykle hałaśliwym, jeśli nienadzwyczaj szanowanym i szanownym.

W rzeczywistości, zachowano etykiety, a zmieniono treść... Dawnego typu parlamentarzysta epoki monarchji lipcowej, czy pierwszych lat Trzeciej Republiki, czuł się rzeczywiście agentem wolności, czynnikiem wolnej dyskusji i swobodnego roztrząsania idej i faktów. Jego nazwisko było na ustach wszystkich, nazywał się Benjamin Constant czy Royer-Collard. Obecnie, przeważnie funkcjonuje jako kółko maszyny, której motor znajduje się w stronnictwie, wydającem, nie jak dawniej dyrektywy ideowe, ale, jak właśnie za terroru jakobinów Wielkiej Rewolucji, rozkazy wiążące i zakazy absolutne. Jeżeli poseł czy senator zachowuje swobodę, to zazwyczaj tylko dla załatwiania jednostkowych spraw swoich wyborców... W ten sposób, między młotem partji a kowadłem nacisku wyborców, nasz nowoczesny parlamentarzysta czuje się daleko mniej wolnym w Izbie, niż gdziekolwiek indziej...[1])

Zapewne, od czasu do czasu, nienaruszone ramy instytucyj buntują się przeciw zmienionej treści, afirmują swoje istnienie i krępują — bardzo pozornie i słabo — owe sprzeczne z niemi przejawy. Wtedy rodzą się konflikty parlamentarne, niezwykle ciekawe, w których parlamentaryzm zazwyczaj okazuje się wybitnie tchórzliwy. *Ut aliquid fecisse videatur...*

Porównywa się często parlamentaryzm do gromochronu: niech się wygadają. Jest to, słyszymy jeszcze, rodzaj systemu izolacyjnego, w którym sprzeczne energje, grożące wyładowaniem się zbyt gwałtownem, nie dochodzą do bezpośredniej walki dzięki pośredniemu kontaktowi parlamentarnemu. Tak było, lecz tak już nie jest. Cały system rozdziału władz wykonawczej, prawodawczej i są-

[1]) *Parlamentaire* staje się już tylko *mandataire* albo *commissionaire*, powiada Halévy w swojej *„Décadence de la Liberté“*.

downiczej, skodyfikowany przez Monteskjusza, był właśnie takim systemem izolacyjnym. Funkcjonowała ta maszyna doskonale przy małym nacisku poszczególnych czynników. Ale dziś jesteśmy świadkami takiego nacisku życia i masy pół-świadomych wyborców, że system izolacyjny go nie wytrzymuje, doprowadzając do czegoś bardzo podobnego do krótkiego spięcia...

„Stopki" czy bezpieczniki zawodzą, następuje wybuch, i, jeśli nie pożar, to gwałtowna przerwa w funkcjonowaniu organizmu. Dyktatura nie jest przecież niczem innem.[2]) Ale ciekawsze są ukryte zamachy antywolnościowe, a przynajmniej antyparlamentarne. Lata ostatnie dostarczyć nam tu mogą we Francji szeregu przykładów. I tak, w roku 1926, jak to wszyscy pamiętamy, Izba radykalna stanęła wobec katastrofy franka: stać ją było conajwyżej na klasyczny paljatyw lewicowy, tradycyjny już — podatek majątkowy. W tym momencie właśnie nastąpiło krótkie spięcie: Izba okazała się niewystarczająca jako środek izolacyjny między rządem a ulicą. Opinja publiczna poruszona i rozruszona, wroga większości, którą rozporządzał kartel lewicowy, narzuciła tej większości powrót Poincarè'go do władzy... *Mutatis mutandis* bardzo podobne wypadki oglądaliśmy we Francji przed paru tygodniami: większość radykalna obaliła Lavala, ale ta sama większość, o dziwo, nie zdołała zapobiec kandydaturze Tardieu'ego, popartej demonstracjami młodzieży uniwersyteckiej...

Dzieje się to wszystko na szkodę parlamentu; czy możnaby bez reszty się zgodzić, że i na szkodę wolności? Dla udowodnienia tego drugiego twierdzenia trzebaby uprzednio stwierdzić, że dzisiejszy parlamentaryzm koteryjny jest istotnie wykładnikiem wolności...

Upadek Poincarè'go w r. 1928 zdaje się świadczyć przeciwnie. Istniał wtedy gabinet koncentracyjny z paru ministrami radykalno-socjalistycznymi. Rząd ten się rozbił dzięki usunięciu się z jego szeregów owych polityków naskutek rozkazu kongresu partji w Angers... Rząd upadł, a wraz z nim *règime* współdziałanie lewicy z prawicą, upadł jednakowoż nie w paryskim *Palais Bourbon* — ale na prowincji, w Angers. Było to coś w rodzaju buntu klubu przeciw Izbie: mogło to być w zwyczajach współczesnego parlamentaryzmu, w istocie swej oznaczało to zdezawuowanie klubu parlamentarnego przez sejmik partyjny. Tu znów „stopki" trzasły i spowodowały krótkie spięcie dla systemu wolnościowo-parlamentarnego...

Dyktatura w połowie Europy, zawodzące środki izolacyjne i „krótkie spięcia" polityczne w drugiej połowie tej sympatycznej części świata: są to symptomy groźne dla wolności parlamentarnej. Wolno się tylko, raz jeszcze, spytać, czy ta wolność jest identyczna z wolnością absolutną?

Otóż tu należy stwierdzić przejawianie się od dość dawna czegoś w rodzaju zakapturzonej tyranji, pod osłoną domniemanej wolności parlamentarnej. Na terenie Izb coraz wyraźniej widać skutki podziemnego działania tajnych stowarzyszeń. Epizod z Angers jest znamienny. T. zw. Kluby działają dziś tajniej, ale nie mniej skutecznie, niż za czasów Wielkiej Rewolucji. Z tych „Klubów" najpotężniejszym i prawdopodobnie centralnym jest masonerja, bez której wogóle niewieleby się dało wyrozumieć w funkcjonowaniu polityki współczesnej. Mamy tu do czynienia z ciekawym paradoksem: o masonerji pozornie wiadomo tak mało, że dla niektórych jest nierealnym wytworem wyobraźni... Ale okazuje się, że bez niej wogóle całe funkcjonowanie organizmu politycznego pewnego obozu stałoby się właśnie fantastyczne. Dla zrozumienia go, trzeba wyodrębnić w nim pewne *deus ex machina*, które zresztą z Panem Bogiem niewiele ma wspólnego...[3])

Drugiem narzędziem ukrytego terroru jest występująca znów pod kapturem instytucji wolnościowej, wolności druku, współczesna skartelowana prasa. Jeżeli gdzieś w połowie XIX wieku w takiej Francji, praca Emile de Gèrardin'ów, St. Beuve'ów, nawet Veuillot'ów i Rochefort'ów mogła uchodzić za kaganek oświaty i rozsadnik myśli, to dziś, w wieku XX-ym nikt już jej chyba o to nie posądzi. Prasa wszelkie artykuły ideowe traktuje jako *malum necessarium*, a łamy swoje zapycha i szpikuje sensacjami, kroniką, mordami i skandalami. Brukowiec nietylko zabija pismo ideowe, ale pomału dostaje się też do twierdzy przeciwnika i pisma ideowe od wewnątrz rozsadza. Jeśli się tak dzieje, to także i dlatego, że komuś na tem zależy. Ukryte kierownictwa „klubów", masonerji i *last not least*, finansjery, centralizują pewne „namiastki" programów i myśli, które podają czytelnikom w dozach wymierzonych, bacząc by ten czytelnik przypadkiem nie dowiedział się za wiele i nie zaczął myśleć... Wszakże nie czem innem tłumaczy się zadziwiające przywiązanie ideowego czytelnika francuskiego do *„Action Française"*, jak właśnie tem, że bodaj ona jedna zachowała nad Sekwaną swobodę myśli i wolność dyskusji, zawarowawszy sobie absolutną czystość źródeł finansowych... Naogół biorąc, należy stwierdzić głośno i dobitnie, rozwiewając wszelkie złudzenia, trącące konserwatywnem przywiązaniem do tego, co kiedyś było i dawno minęło, że prasa współczesna jest narzędziem obskurantyzmu i ogłupiania czytelnika.[4])

Ten czytelnik, o ile go nie wyrwać z letargu, jest tem łatwiejszy do ogłupienia, że bywa też i słuchaczem. Radjo zdecydowanie wyprzedza tu teatr. Jeśli teatr upada, to może więcej jeszcze pod razami radja niż kina. Otóż tu dylemat wolności czy tyranji staje się wprost drastyczny.

Teatr był bronią tak giętką, że właściwie żadna cenzura nie mogła mu dać rady. Przypomnijmy czasy rosyjskie: tekst sztuki był cenzurowany, ale któż zdołał skontrolować kuplety i wstręty aktora, jego gesty i mimikę? Przypomnijmy tysiączne i setne anegdoty o Żółkowskim. Z radjofonją rzecz się ma przeciwnie: jest ona wymarzonem uwygodnieniem życia dla cenzora. Wystarczy danemu rządowi czy *règime*'owi położyć ręce na jednej centrali emisyjnej, aby wedrzeć się z swoim programem, swoim *bourrage de crâne*, swojemi klątwami i błogosławieństwami, już nie do każdej sali koncertowej, ale wprost do każdego ogniska domowego. Wszakże można sobie wyobrazić takie możliwości,

---

[2]) *„Ce que nous appelons, en èlectricitè, court-circuit, en politique s'appelle dictature"* (Halévy).

[3]) *„Il est impossible de ne pas songer ici au grand club secret, auquel sont presque tous affiliés les membres du parti radical-socialiste, la Franc-Maçonnerie. On ne peut que songer, car on ne sait rien; autour de la F.-M. tout est secret, silence. Mais l'historien est bien faible, s'il se laisse intimider par une consigne de silence.* (Halévy)

[4]) *L'ancienne presse fournissait de reflexions et de documents une élite libérale; la nouvelle fournit de lecture, de papier, un public qui se laisse faire. Elle cherche à tout dire par des titres imprimés en gros caractères, par des images: c'est la technique des livres d'enfant"*. (Halévy).

gdzie zetatyzowane radjo po każdem ognisku domowem rozrzuca hasła rozwodowe, szkaluje wrogą sobie ideologję, choćby najbardziej zasłużoną, a nawet przerywa w połowie kazania, emitowane w czasie nabożeństw, jeśli mu się stają niewygodne...

I oto tu zbliżamy się do sedna rzeczy, dochodząc znacznie dalej, niźli to przewidywaliśmy na początku tych uwag. Wolność, wypisana między hasłami Wielkiej Rewolucji, sczezła gruntownie dzięki ukrytym siłom, które rozsadzają w wieku XX-ym misterny układ izolacyjny, wyimaginowany przez wiek XVIII-ty a zastosowany przez wiek XIX-ty. Rzecz zadziwiająca: powoli nie tylko ta wolność znikła, poznikały i najróżniejsze wolności indywidualne i ludzkie, jakiemi cieszył się Europejczyk za czasów nawet absolutyzmu XVII-wiecznego, który go oświecał a nie tumanił, co dopiero za czasów „średniowieczczyzny“, która w swem braterstwie kościelno-chrześcijańskiem warowała znacznie więcej wolności dla swego ludu, niźli w przyszłości miał to zrobić kapitalizm dla swego robotnika... Ośmielmy się na takie rzucenie rękawicy: feudalizm był zaiste bardziej wolnościowy, niż skapitalizowany i skartelizowany ustrój demokratyzmu rewolucyjnego...

Dziś mamy w starej Europie i w nowej Ameryce niebezpieczeństwa, grożące wolności ciała i duszy, wolności pracy, wolności słowa i myśli. Przyczem ta myśl nie jest już nawet krępowana jakimkolwiek autorytetem, ale wprost zorganizowanem tumanieniem jej i ogłupianiem.

Wolność rewolucyjna w ostatecznym rezultacie doprowadziła po stu kilkudziesięciu latach do zaprzepaszczenia różnych swobód, posiadanych już uprzednio przez cywilizowanego Europejczyka.

Zdobądźmyż się dziś na obronę swobód, zagrożonych przez nadużywanie haseł wolności!

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

O WOJNACH KLASYCZNYCH I ROMANTYCZNYCH

NIE JESTEM wielbicielem Guglielma Ferrero. Zbyt jest przeniknięty duchem XIX wieku. Należy jednak, sądzę, zwrócić uwagę na rozprawę o wojnach dzisiejszych i dawniejszych, stanowiącą część ostatniej jego książki („*La Fin des aventures*“) i nawiązać do zawartych w niej poglądów pewne uwagi.

Mówiąc o wojnach dzisiejszych, ma Ferrero na myśli wojny wieków XIX i XX; wojny dawniejsze — to wojny wieku XVIII. Jeśli uznać, że wszelkie przejawy życia ludzkiego wyrastają ze wspólnego pnia „duszy“ pokolenia czy pewnego okresu, to nie będzie zbytnią dowolnością, gdy w dalszym ciągu będziemy mówili o wojnach klasycznych i romantycznych.

Przeżycia wojenne narodu nie są czemś oderwanem od jego przeżyć pokojowych. Między narodami odbywa się nieuchronnie współzawodnictwo, mające charakter walki. Między walką pokojową a zbrojną niemasz doprawdy różnicy jakościowej, jeśli się tak wyrazić wolno, jest tylko różnica ilościowa. To też charakter wojen jest zależny od stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych danego okresu, od wiary i filozofji danego pokolenia.

Wiek XVIII jest w pewnym sensie okresem szczytowym w rozwoju narodów, zamieszkujących Europę zachodnią. Życie i myśl tych narodów są w tym okresie dziełem warstw uprzywilejowanych, które osiągnęły nie tylko wysoki stopień kultury ogólnej, lecz także zdobyły wszechstronne doświadczenie w kierownictwie życiem zbiorowem.

Politycy wieku XVIII, podobnie jak filozofowie i artyści tego czasu odznaczali się trzeźwością i umiarem. Byli w pewnem znaczeniu tego słowa sceptykami, wiedzieli, że cele i środki człowieka są ograniczone, że nieosiągalne jest dlań dobro absolutne, że musi się zadowalać względnem. Wiedzieli, że między państwami są inne stosunki niż między jednostami, bo niemasz praw i sądów, stosunki te regulujących. Nasz Staszic w swoich „Uwagach“ tak tę prawdę sformułował: „Dotychczas współeczności ludzkie między sobą praw nie stanowiły. Dlatego dotychczas narody w tym stanie trwają, w którym człowiek, jeżeli to kiedy było, żył bez towarzystwa. Gdzie niemasz prawa, tam niemasz sprawiedliwosci. Tylko wojna między narodami krzywdy usprawiedliwia, godzi lub wznawia... gdzie niemasz prawa, tam wojna jest sędzią...“

Tak pojęta wojna jest środkiem jedynym do załatwiania takich konfliktów między państwami, które w drodze rokowań i kompromisu załatwione być nie mogą; w dodatku środkiem uprawnionym i koniecznym. Każda ze stron wojujących mą swoją rację; prawo i sprawiedliwość nie są zwykle umieszczone po żadnej z dwóch stron. Jeśli przed wypowiedzeniem wojny były wyczerpane wszystkie inne środki załatwienia sprawy, to niemasz „winnych“ jej wywołania. Jeśli cel wojny jest ściśle określony i ograniczony, to i sama wojna musi być ograniczona do wysiłków i strat koniecznych, a pokój sprowadza się do załatwienia przedmiotu sporu, nie opiera się na prawach moralnych, nie ma być „wiecznym“, nie ma załatwiać wszystkiego.

Dzieje wieku XVIII-go świadczą, iż zasady powyższe były uważane za obowiązujące przez polityków i wojskowych tego czasu. Walczyły wówczas nieliczne armje, oszczędzano ludność cywilną, zawierano traktaty niezbyt surowe, szanowano się wzajemnie, zachowywano przepisy i obyczaje rycerskie.

Takie były wojny w wieku klasycznym.

Pod koniec XVIII stulecia wszędzie nastąpił przewrót, którego wyrazem była Wielka Rewolucja francuska. Warstwy uprzywilejowane i politycznie doświadczone, osłabione i rozłożone wewnętrznie, ustąpiły przed naporem warstw nowych, nie mających praktyki życia zbiorowego i kierownictwa losami państwa, lecz silnych swą świeżością i dążeniem do równouprawnienia w korzystaniu z dóbr materjalnych i moralnych tego świata. Napoleon, spadkobierca idej rewolucyjnych i organizator Rewolucji, poniósł ją do wszystkich krajów Europy.

Wiek XIX był wiekiem dokonywania się rewolucji społecznej, zapoczątkowanej przez Rewolucję francuską i szerzenia się jej ideologji, był, krótko mówiąc, okresem demokratyzacji narodów europejskich, a że procesowi temu sprzyjał rozwój stosunków gospodarczych, więc ewolucja ta poszła bardzo szybko. Przeobraziło się życie gospodarcze, społeczne i polityczne, przeobraziły się ideje, wie-

rzenia i pojęcia moralne. Zmieniły się także charakter i ideologja wojny.

Byliśmy świadkami takiej wojny nowoczesnej, wojny romantycznej. Łatwo można tedy stwierdzić cechy, różniące ją od dawnych wojen klasycznych.

Najbardziej rzuca się w oczy to, że miejsce dawnych wojsk zawodowych zajęły armje, pochodzące z powszechnego poboru, prawdziwe armje ludowe. Gdy dawniej w wojnie był zaangażowany rząd i wojsko, dziś bierze w niej udział całe społeczeństwo, bo nietylko ci, co są pod bronią, lecz i ludność cywilna.

Zgodnie z tem, wraz z przeobrażeniem poglądów politycznych i moralnych, zmieniły się także pojęcia o przyczynach i celach wojny, oraz jej ocena moralna. Przestano na nią patrzeć, jako na narzędzie do rozstrzygania konfliktów, których inaczej załatwić nie było można, uznano ją natomiast za narzędzie do wymuszania bezwzględnej sprawiedliwości. Każda ze stron walczących uważała, że prawo jest po jej stronie, wszak pamiętamy dobrze, jak w obozie koalicji mówiono, że jest to wojna prawa z bezprawiem, demokracji i postępu z oligarchją i reakcją, iż wynikiem jej musi być trjumf bezwzględnej sprawiedliwości, że jest to wojna ostatnia. Zgodnie z temi celami wojny były określane zadania traktatów; miały one zaprowadzić nowy, bezwzględnie sprawiedliwy i definitywny układ stosunków w Europie. Wojnę pojmują dziś szerokie masy, jako walkę Dobra ze Złem, są więc przejęte mistyczną wiarą w bezwzględną słuszność swej sprawy. Wojna ogarnia całe społeczeństwo. Zamienia się w żywiołową walkę całych narodów, które dążą do zupełnej wzajemnej eksterminacji. Gdy się myślą przechodzi dzieje wojny ostatniej, gdy się wywołuje w wyobraźni jej przebieg, gdy się usiłuje przewidzieć, jakiemi będą wojny przyszłe, to dochodzi się do wniosku, że ludy Europy zachodniej cofają się raczej ku dobie swego dzieciństwa, że kontynent nasz zalewa fala nowego barbarzyństwa.

Doświadczenie i wysiłek myślowy doprowadziły ludy cywilizacji zachodnio-europejskiej poprzez średniowiecze do szczytów kultury politycznej, której nosicielką była warstwa uprzywilejowana. Rozkład wewnętrzny tych warstw i napór warstw nowych doprowadził do ich upadku, a wraz z tem do zatraty tego dorobku politycznego, jaki posiadały, a że kultura polityczna zdobywa się li tylko przez długie doświadczenie, więc przeżywamy obecnie okres „romantyzmu" politycznego, okres, w którym cele nie są przystosowywane do środków i zasobów, niema umiaru w ocenie możliwości człowieka, niemać zrozumienia ograniczeń, jakie na niego nakłada natura rzeczy i względności jego sądów.

Ten romantyzm w pojmowaniu zjawiska wojny prowadzi do nadania jej cech coraz większego barbarzyństwa. Takie cechy miała wojna ostatnia, a przepowiednie znawców powiadają, że o wiele okropniejsze będą pod tym względem wojny przyszłe. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że, podobnie jak się to stało w Rosji, będą się one przeobrażały w rewolucje wewnętrzne, że nikt nad niemi nie będzie w stanie zapanować, ani ich opanować, iż z walk armij, fachowo zorganizowanych, będą się zamieniały w walki hord, opanowanych szałem mistycznym... „*Guerres à allures déchaînées*" — mówił o wojnach współczesnych Foch.

Wiek XIX wierzył w automatyczny Postęp ludzkości. Spadkobiercy ideowi tego wieku wierzą dziś jeszcze, że można przez propagandę i uchwały ciał międzynarodowych wygnać ducha wojny z tego świata. Ulegają — zdaniem mojem — wielkiemu i niebezpiecznemu złudzeniu. Zapoznanie stwierdzonych doświadczeniem prawd politycznych i zastąpienie ich mistyczną wiarą nie odwróci od nas burz wojennych, przeciwnie, przyśpieszy je i zrobi je okropniejszemi.

Trzeba wrócić do umiaru i względności myśli politycznej wieku XVIII-go. Miast gonić za chimerą wiecznego pokoju, trzeba pracować nad urzeczywistnieniem możliwie długiego okresu pokoju w Europie oraz szukać sposobów, prowadzących do ograniczenia wojen i do ujęcia ich w pewne ramy i karby. Pamiętajmy jednak, że wojny nie są zjawiskami oderwanemi od całokształtu życia ludzkiego, przez nie ujawniają się najistotniejsze cele tego życia w danym okresie czasu. Jeśli od wojen „romantycznych" mamy przejść z powrotem do wojen „klasycznych", to musi być przezwyciężone barbarzyństwo polityczne, które dziś tak szerokiemi falami zalewa życie zbiorowe narodów zachodnio-europejskich i zagraża ich prymatowi na ziemi.

STANISŁAW KOZICKI

KOMEDJA AMERYKAŃSKA

(*THE MIRACLE OF CHICAGO*)

KOMEDJA HISTORYCZNA Z R. 1931

AKT II

Scena przedstawia „Bawialny Room" w rezydencji Walentego Szczęśniaka przy Lindbergh-Avenue, przecznicy Michigan-Avenue, blisko jeziora Michigan w luksusowej parkowej dzielnicy wschodniej.

Cała podłoga wysłana longoleum, naśladującem dywany kaszmirskie. Na ścianach tapety chińskie, w głębi okna na ogród i dalekie jezioro.

Po lewej, drzwi w głębi do antresoli, bliżej do apartamentów pani domu. Między drzwiami na ścianach szeroko porozwieszane obrazy, wśród których portret pani domu w balowej sukni pędzla rodziny Styków, oraz obraz przedstawiający Napoleona pod Waterloo, także ręczny. Na środku room'u garnitur salonowy Louis XV z drzewem suto złoconem. Stół z jardinierą pełną kwiatów, nad stołem przewspaniały bronzowy, kryształowy żyrandol. W głębi między oknami fortepian palisandrowy, autentyczny Kimball. Z lewej w rogu recamier'ka z rozpostartym na podłodze białym niedźwiedziem obok stoliki z bibelotami i fotele huśtające i normalne. Z prawej w rogu olbrzymia gdańska szafa. Na jednym ze stolików telefon kryty dużą lalką damską w sukni rokokowej.

Wogóle luxus świeżej daty, złagodzony i umożliwiony mnóstwem kwiatów w doniczkach i w naczyniach. Rzecz charakterystyczna: mnóstwo poduszek damskiej roboty w lepszym lub gorszym guście, niektóre nawet „secesyjne".

I stosunkowo bardzo dużo książek, angielskich, francuskich, nawet polskich tu i ówdzie porozrzucanych.

Pod wieczór.

Odbiera telefon bardzo przystojna pokojówka apaszowata, w filmowym stylu, w czarnej sukience pod szyję zapiętej w jedwabnych pończochach.

VIRGINIA PLISZKA *(Mówi dyskretnie, ręką przysłania sobie usta)*. To ty Horacjo?.. Wszystko gotowe... Szafa stoi... Jest... Max... Klucza?... Nie nie mamy... Przygotowane... (*odkłada słucha vkę*).

We drzwiach z prawej w głębi staje Nowaczyński. Wysoki, smukły, żylasty brunet, z głową jockeya, czy trenera stajni wyścigowych—twarz spalona słońcem, prawie ciemna, w lewym oku monokl. Typowy brach-yocephal—raczej Skandynaw, niż Sarmata. Jest w prima wizytowem ubraniu: żakiet, paskowane inexprımable a la mayor Walker, w ręku kapelusz, rękawiczki... laska.

NOWACZYŃSKI (*w progu)* Hallo Girl!

VIRGINJA. O Boże! Jakżem się przestraszyła! (*chwyta się za serce).*

NOWACZYŃSKI: Nonsens! Niema czego! Nie taki djabeł brunet jak go malują. Drzwi cottagu były otwarte. Panienka łaskawie mnie zamelduje.

VIRGINIA: (*rumieniąc się*): Zdaje mi się, pan Nowaczyński.

NOWACZYŃSKI: Zdaje mi się, że subreteczka jak z Moliera. Tak? I to Poleczka?

VIRGINIA: (*dygając*): Tak rodaczka, ale urodziłam się już tu w Stanie.

NOWACZYŃSKI: W Stanie Błogosławionym? Tak? Boć błogosławiony jest Stan, w którym rodzą się takie cacuszki (*zbliża się powoli).*

VIRGINIA: (*wyciągając ręce po kapelusz i laskę*) O pan redaktor zbyt łaskaw... a moja pani zazdrosna! oj jej, jaka zazdrosna! (*odbiera*).

NOWACZYŃKI: Ma wszelkie dane po temu, bo (*obrócił Virginię wkoło osi)* bo ostatecznie, to są omal najładniejsze łydki w Chicago.

VIRGINIA: Tylkoo?

NOWACZYŃSKI: Czy tylko Chicago? czy tylko łydki? No, to w stanie Illinois... Szyjka jak u Grety Marleno... (*słychać dzwonek jakby sygnaturka kościelna).*

NOWACZYŃSKI: (*słuchając i równocześnie rozglądając się po salonie):* Co to? Sygnaturka kościelna jakby na Anioł Pański?

VIRGINIA (*trzymając laskę i bawiąc się kapeluszem)*: Ależ nie, proszę pana... O tej godzinie przechodzi koło naszej willi za ogrodami „rapid" do Milwaukee. Wszystkie amerykańskie lokomotywy mają takie kościelne dzwonki.

NOWACZYŃSKI: (*marszcząc się).* A tak... Już to i zauważyłem... A gdzież to pani?

VIRGINIA: O tej godzinie karmi w ogrodzie pocztowe gołębie. Zaraz zawieszę pańską laskę i pójdę pani zameldować. Ale się ucieszy! (*wybiega w prawo*).

NOWACZYŃSKI (*rozgląda się po całym pokoju, zmierza do stołu, ogląda książki*).

VIRGINIA (*za drzwiami śpiewa jakiś motyw rewiowy z Music Hallów. I wraz wraca*).

NOWACZYŃSKI (*zaczepnie*): O, i głosik ma wcale, wcale... Urodzona Star dla Broadway! Marnuje się!

VIRGINIA (*palcem mu grożąc w przechodzie*): Z redaktora jest, zdaje się, komplemenciarz! (*wybiega do ogrodu*).

NOWACZYŃSKI (*przechodzi do fortepianu, otwiera klawiaturę, prawą ręką kilka taktów z jakiejś Revue amerykańskiej i ogląda firmę*).

We drzwiach ogrodowych staje starszejsza młoda niska dama, blondyna, dużej wagi, gatunku i pulpet, krótko-szyja, pulchnonoga, w drogiej, białej, raczej panieńskiej tualecie, biżuterjami nad miarę poobciążana. Za nią złośliwie uśmiechnięta Virginia.

WALENTOWA *(ucieszona):* Ano wreszcie, wreszcie, mam u siebie pana mistrza.

NOWACZYŃSKI (*dość niezgrabnie składa wersalski ukłon*): Pani!

WALENTOWA (*podając mu do pocałowania wielofunto vą łapkę*): How do You like Chicago?

NOWACZYŃSKI: Oh yes, it's really splendid.

WALENTOWA: A jak się panu mistrzowi spodoba nasz hauzik?

NOWACZYŃSKI: Oh yes, it's really nice!

WALENTOWA: A wie pan, że nie „omorgeczowany"? I nawet nie kosztował tak wysoko, bo był z licytacji..

NOWACZYŃSKI: A tak... nie przypuszczałem...

WALENTOWA *(pośpiesznie):* Ale w każdym wypadku do 86 tysięcy. Bez ogrodu. Rezydencja skromna, bo my dopiero na dorobku... Pan muzykalny?

NOWACZYŃSKI: Tak sobie. Starej daty: Skriabin, Debussy... Prokofjew...

WALENTOWA: Zaraz się domyślałam, bo pan mistrz macał klawisze.

NOWACZYŃSKI (*wskazując na fortepian*): Fajny instrument! (*podchodząc do fortepianu*).

VIRGINIA (*stoi przy drzwiach i przysłuchuje się nie bez złośliwego uśmiechu*).

WALENTOWA: To jest prawdziwy Kimball! Koncertowy Kimball. Ale nas nie drogo kosztował.

NOWACZYŃSKI: Czyżby na licytacji?

WALENTOWA: Nie! To za pogrzeb jedna familja. Nie miała czem zapłacić, to się wzięło.

NOWACZYNSKI: Ha, to szczęśliwy traf!

WALENTOWA (*pośpiesznie*): Tylko, że reparacja kosztowała 100 dolarów... Dekel, struny i pedał trzeba było nowe...

NOWACZYŃSKI: Bardzo słusznie, bardzo słusznie.

WALENTOWA (*podchodząc z nim do ściany z obrazami*): A mój portret pan mistrz widział? To Styka pajntował... Także od Was, ze starego Kraju.

NOWACZYŃSKI (*spoglądając w górę*): Bardzo śliczny lakierek! I podobny jako landszaft. Tylko pani szanowna znacznie młodszejsza w naturze.

WALENTOWA (*ucieszona*): Prawda? prawda? Różni tu już bywali, co tak samo mówili. A kazał sobie wywalić z góry, jakby mnie o sto lat odmłodził.

NOWACZYŃSKI: Tak, tak... To filut...

WALENTOWA (*złośliwie*): Ale za to musiał wszystkie biżuterje odmalować jakie mam. To się i namęczył... ha ha...

NOWACZYŃSKI (*przystanął przy szkicu z Napoleonem i patrzy z podziwem*): A to kto robił? To ciekawe!

WALENTOWA (*bagatelizująco):* Eee... To jeden taki... O nim się nie mówi! Rodzinne. Ale także olejne.

NOWACZYŃSKI: Ależ to jest wprost fascynujące! (*ogląda starannie z frontu i z boku*). Bajeczny!

WALENTOWA: To pan także lubi pikcziurki? Ja bo przepadam za wieszaniem takich na ścianie. Nie cierpię coloured fotografji, takich powiększonych. Niektóre panie znajome to jeszcze lubią coloured. A pan mistrz lubi?

NOWACZYŃSKI: Średnio proporcjonalnie.

WALENTOWA: Zaraz się domyślałam, że nie. Jabym jeszcze inne mieć chciała, takie Picassa, Matissa, ale także ręczne. Tylko my sobie na to nie możemy pozwolić. To dla miljonerów, a my na dorobku. U pani Szelągowej jest już Steenway. Ale ja wolę Chicagoskie Kimballe. Tylko że nasi panowie to tylko gramofony, radiole, radio... jazzband...

NOWACZYŃSKI: Czyżby?

WALENTOWA: Mój małżonek to tylko radiator... On wprost nie znosi jak ja gram Chopina albo Tosti „Barkarolę".

NOWACZYŃSKI: To pani grywa?

WALENTOWA: Staram się... Teraz znowu biorę lekcję, ale przeważnie z nutów!

NOWACZYŃSKI: Z nudów czy z nutów?

WALENTOWA: Nie, z nutów, bo na pamięć to nijak nauczyć się nie mogę.

NOWACZYŃSKI (*przechodząc koło gdańskiej szafy, przystaje*): Bardzo ładny kawałek.

WALENTOWA (*uradowana*): Prawda? prawda? Bo to niby i stary i nowy. Ja bardzo przepadam za antekami, choć to nie wszystkie panie u nas jeszcze lubią.

NOWACZYŃSKI: Ten antek to mój znajomy! Dobra firma!

WALENTOWA: A zdarł nas papa, co tylko mógł! I to gotówką. „Very Danzig". Tyle, że bardzo ciężki. Dziesięciu ludzi go tutaj zniosło.

NOWACZYŃSKI (*zdziwiony*): Ile? Aż dziesięciu?

WALENTOWA: Dziesięciu! I to się namęczyli!

NOWACZYŃSKI (*podejrzliwie*): A gdzie są klucze?

WALENTOWA: Właśnie, pokazałabym panu środek, ale klucze się gdzieś zapodzieli.

NOWACZYŃSKI: A to ciekawe! Dziesięciu ludzi?

WALENTOWA: A co to? Pan mistrz się nam w Chicago zakatarzył, że tak chrząka.

NOWACZYŃSKI: Ależ to się pani przewidziało. Ja nie chrząknąłem.

WALENTOWA: No to możemy sobie siadnąć... Proszę... (*wskazuje mu fotel koło recamierki, sama kładzie się na kanapie i dzwoni*) to moje ulubione miejsce... „świątynia dumania"... Czem panu mistrzowi można służyć? Czarna kawa czy piwo, bo jest.

VIRGINIA (*stanęła obok*).

NOWACZYŃSKI: To może czarna, jeśli łaska.

WALENTOWA: Wiedziałam, że pan woli czarną. A u nas jest taka sama, jak u pani Śmietankowej: „Manor House", ale prima sorta. Manor-House daje także koncerty w Radio. Potem możemy sobie nastawić... Virginio, czarna kawa... I tacę z likworami Virginia przyniesie.

VIRGINIA (*ciągle kpiąco uśmiechnięta, znika*).

WALENTOWA: A gdzie to pan mistrz stanął na kwaterze?

NOWACZYŃSKI (*raz po raz podejrzliwie patrząc na szafę*): Największy hotel świata! 36 piętro, numer pokoju 2129.

WALENTOWA: Wysoko, daleko i drogo. Szkoda dolarów. Myśmy już o tem mówili z Valois i Valois się zgadza. Pan mistrz przeniesie się do nas, my mamy czternaście izb: roomów. Pan mistrz nam nie odmówi tego zaszczytu. Może i Maślankowie pana mistrza zaproszą? Ale tamby panu było gorzej. Będziem sobie tutaj gwarzyli, marzyli (*przybiera pozę pani Recamier*). To pan pisze takie talkiesy do teatrów?

NOWACZYŃSKI: Miejscami.

WALENTOWA: O generale „Pylaskim" to pan mistrz napisał?

NOWACZYŃSKI: Owszem, zdarzyło się.

WALENTOWA: Więc właśnie. Pan mistrz przecież wie już, że ja także mam ambicje do pisania. Drukowali takie „short stories" moje. Ale ja chciałabym także większy kawałek zrobić. Jakiś czas nawet myślałem wstąpić do Harward-College.

NOWACZYŃSKI: W celu jakim, jeśli wolno?

WALENTOWA: Tam uczy profesor Baker i we dwa lata można się nauczyć pisać na scenę. Obliczyli, że jest wogóle 1800 takich między ludźmi „tragical conflicts", 1800! Nie więcej! We dwa lata gwarantuje uczniowi, że tych 1800 nauczy. A kosztuje też 1800 dolarów. Nie więcej. Pan mistrz się zaśmiał? Co w tem jest do zaśmiania?

NOWACZYŃSKI (*poważnie*): Ależ pani się przesłyszała! Ja słuchałem tylko pilnie!

WALENTOWA: Ano, to może mi się zdawało. A jak pan u nas zamieszka, to pan tu ma wszędzie książki do czytania. Mało gdzie w Polonji Chicagoskiej tyle francuskich romansów. Ja sama choć jestem Freudystką, ale najlepiej lubię Francuzów, Moranda, Dumasa, Barsaca...

NOWACZYŃSKI: Cointreau ostatnią powieść pani czytała?

WALENTOWA: Ależ naturalnie. Mam ją gdzieś nawet tutaj. I Cocteau i Cointreau. I przyznam się panu, że ja przeważnie lubię sex-appeal i nowelki perweśne!

VIRGINIA (*przychodzi z dużą tacą z likierami i stawia przy recamierce*).

WALENTOWA: Mnie to wogóle podnieca jakoś. Pan mistrz, to musi znać takie wszystko... Teraz czytam pour le bonne bouche Lalkę Prousta! Ale to poważne! A chciałabym właściwie Pitigrilli.

VIRGINIA (*rozstawia butelki na stoliku i wychodzi z tacą. Ale stale podsłuchując*).

WALENTOWA: Jedna z pań polskich ma Pitigrilli, ale po angielsku. Jabym wolała w oryginale po francusku, bo wtedy wiem, że nic nie wykreślone. Pan mistrz zna Freuda, tą psychoanalizę?

NOWACZYŃSKI: Jewish-Science? Tak?

WALENTOWA: Co znaczy Jewish-Science?

NOWACZYŃSKI: Tak tu podobno nazywają. Jak jest „Christian Science" tak jest i „Jewish-Science".

VIRGINIA (*przynosi na tacy maszynkę do czarnej kawy najnowszej konstrukcji i stawia na stoliku*).

WALENTOWA: Virginia nam naleje czarną. A jakim likworem można mistrza poczęstować? są wszystkie! paryskie także!

NOWACZYŃSKI (*z okiem ku Virginji*): Jeśli łaska, będę sobie... będę sobie...

WALENTOWA: Może Orange-Crush?.. może Corteau?

NOWACZYŃSKI: Merci... ja będę sobie cyckał koniaczek!

VIRGINIA (*nalewa, śmiech powstrzymując*).

WALENTOWA (*wesoło*): Cyckał koniaczek! Jakież to świetne! Nie wiedziałam nawet, że to „comme il faut" tak mówić. Ale skoro pan mistrz tak mówi... „Cyckał koniaczek".

NOWACZYŃSKI (*do Virginji*): Dziękuję... Virginio...

WALENTOWA: O pan mistrz już wie, Virginio, że tobie Virginja...

NOWACZYŃSKI: Raz usłyszałem i pamiętałem... (*kropnął koniak, Virginia nalewa drugi*). Przedni koniak! Strzelisty! Rosochaty! Dynamiczny!

WALENTOWA (*zaśmiewając się*): Ach, jakich pan słów używa! Nie! Pan mistrz musi u nas zamieszkać! Tu będzie miał miło, wygodnie. Prawda Virginio?

VIRGINIA: O tak. U nas jest very charming... W ogrodzie gołębie... Ogród śliczny (*skromnie*). Ja będę do pańskiej dyspozycji...

WALENTOWA (*przestraszona*): Co to? w szafie coś stuknęło?

NOWACZYŃSKI (*podejrzliwie*): W szafie?

VIRGINIA: Ej, to się pani zdawało (*przepłoszona*). A może tam kota zamknęli?

NOWACZYŃSKI (*już wstał, podszedł do szafy gdańskiej; przykłada ucho, nasłuchuje.*)

VIRGINIA (*szybko teraz trąca flaszkami i kieliszkami, przekłada, uderza w tacę i raz po razu niespokojnie patrzy na Nowaczyńskiego.*)

WALENTOWA: Tak, to stanowczo musieli kota... W office Szczęśniaków są koty... Byle mi się na gołębie nie rzucił... Panie mistrzu, proszę się już nie fatygować!

NOWACZYŃSKI (*wracając do stolika*): Tak! To najprawdopodobniejsze! że kot się tam wcisnął! A klucze?..

WALENTOWA: Kluczy nam jeszcze nie przynieśli... Już może Virginia odejść... Sami sobie poradzimy... Proszę niech pan mistrz sobie nalewa. (*telefon zadzwonił*).

WALENTOWA: Virginia jeszcze telefon odbierze... W naszej Polonji to rzadko gdzie taki koniak.

VIRGINIA (*półgłosem, zatykając ręką, mówi do telefonu.*)

NOWACZYŃSKI (*nagle niespodziewanie odwrócił się w jej stronę. Zmierzyli się oczyma.*

VIRGINIA (*czelnie*): To, proszę pani, jakiś pan się pyta, czy pan Szczęśniak napewno będzie tu z córką?

WALENTOWA (*niecierpliwie*): Ale jaki pan? kto się pyta?

VIRGINIA: To musi być politykier... Z głównej kwatery elekcyjnej.

WALENTOWA: Ach, powarjowali ci nasi panowie z tą polityką... Virginia powie że napewno, że już powinni być nawet...

NOWACZYŃSKI (*patrząc na zegarek*): Tak, istotnie. Coś bardzo się spóźnia panna Gloria.

WALENTOWA: Virginia już może odejść!

VIRGINIA (*jeszcze półgłosem mówi w telefon, poczem odchodzi, staje za kotarą, podsłuchuje.*)

WALENTOWA: Stanowczo pan mistrz musi się tu do nas przenieść... I do sztambuchu to pan się też tu wpisze (*z za kozetki wyciąga i podaje mu pluszowy sztambuch*). O proszę! Tam znajdziesz pan najsławniejszych naszych prominents... Proszę...

NOWACZYŃSKI (*biorąc ogląda, równocześnie nalewa sobie nowy kieliszek*): Magnificent... Marvellous... Wunderfull!

WALENTOWA: Tam jest Cyganiewicz, pan Styka, profesor Siemiradzki, Miss Chicago, ambasador, Pola Negri, nawet biskup Hodur, Szukalski... I pan też musi... Ale ręcznie!

NOWACZYŃSKI: Tak... tak... Bezwarunkowo ręcznie...

WALENTOWA: A z Chicago, czy pan już dość widział? Nasze parki? Nasze pałace? Brighton Park? Lincoln Parc? Jackson Parc? Pałac Wanemakerów? A pałac Mac Cormicków? Ona Rocquefellerka z domu... A druga to Polka była... Tam w tej familji ciągłe szkandały się dzieją. Takie bardzo erotyczne... psychoanaliza płciowa i seksualna. Ja bardzo lubię o tem słuchać... Nawet o Lesbijkach... Ale przynajmniej coś się tam dzieje... Proszę się nie krępować, niech pan mistrz sobie nalewa choćby cała flaszka poszła.

NOWACZYŃSKI (*nieco już trąknięty, raptownie innym tonem*): A co to pani nic nie pijesz droga Liljanko... Hę?

WALENTOWA (*najpierw zdumiona, ale odrazu opamiętała się*): Nie, mistrzu kochany... Liljanka nie może. Musi uważać, żeby nie tyła. „Save your wright! Save your line!" Likwory rozdymają. Nic nie piję i nic nie jem prawie. Ot, sucharek, pomidor, pomarańczę, sałatkę selerową...

NOWACZYŃSKI: Sałatkę selerową?.. O, to ryzykowne... (*nalewa do drugiego kieliszka*). Ale z Nowaczyńskim to sobie koleżanka literatka chyba kropnie?

WALENTOWA (*frywolnie*): Eh, z mistrzem tom gotowa na ola Boga! (*trącając się, piją*).

WALENTOWA: Jak panu ten koniaczek dogadza?

NOWACZYŃSKI: Wunderfull! Marvellous! Magnificent!

WALENTOWA: Ot, takie Mac Cormicki, Rocquefellery, Armoury mają życie! Tam się ciągle coś dzieje! (*wzgardliwie*) A w naszej Polonji, to co? Politykierstwo, byznessy, pikniki z księżami i wikarymi! Kręgle! Sokół... Sokole gniazda... A ja się przecież do Sokolic nie zapiszę... Mężczyzny to choć mają speakesy, beflety, burleski, girlsy. A my co? Wciąż jedno i to samo. Gdyby nie te gołębie, tobym już dawno chyba zwarjowała! No i to, żem jest literatką. Ale to wszystko ogromnie nudne i monotonne, mistrzu Nowaczyński... Proszę i mnie nalać... O tak... Cała Ameryka jest monotonna... Dziękuję... Na Pańskie zdrowie! (*trącają się... piją*) A ja okropnie chciałabym raz coś przeżyć, przeżyć...

NOWACZYŃSKI: Przeżuć? Co przeżuć?

WALENTOWA: Przeżyć! przeżyć! Mnie mój balsamator żywcem zabalsamował! A niedawno jedna profetessa . . . (*słychać trąbkę samochodową z bliska*).

NOWACZYŃSKI (*zerwał się uradowany*): O, ktoś nadjeżdża!

WALENTOWA: Tak, to pewnie oni!.. Jedna taka profetessa... pan mistrz wie, że w Chicago jest dziesięć tysięcy patentowanych takich, co wróżą... My się wszyscy na to abonujemy... To się płaci i co miesiąc dostaje do domu.

NOWACZYŃSKI (*wesoło*): Kapitalne! Listownie?

WALENTOWA (*spokojnie*): Listownie. W Chicago już listownie. W Nowym Yorku jeszcze trzeba do profetess jeździć... W Chicago listownie...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA WIDOWNI

Sprawa „rozbrojenia moralnego“ — Formuła zabawna i niezręczna — Bat i gałązka oliwna — Zespolenie serc metodami policyjnemi — Wizja przyszłości.

WNIOSKI w sprawie „rozbrojenia moralnego“, zgłoszone dn. 13 z. m. przez delegację polską na „konferencji rozbrojeniowej“ w Genewie, znajdują ostatnio coraz liczniejszy zastęp chwalców i gorliwych propagatorów w Warszawie. Skrzętni i punktualni starozakonni z „*Pologne Litteraire*“ rozesłali już w tej sprawie ankietę „do pisarzy europejskich i amerykańskich“, równocześnie zaś w „Wiadomościach Literackich“ (nr. 16 z dnia 17 b. m.) żądają w sposób natarczywy, aby szerzący agitację antywojskową film „Człowiek, którego zabiłem“, był w Polsce wyświetlany bez żadnych „okaleczeń“, jako że „państwo, które wysuwa ideę rozbrojenia moralnego, nie może — bez narażenia swojej powagi i autorytetu“ (mój Boże, i „powagi“, i jeszcze w dodatku „autorytetu“!) — cenzurować filmów pacyfistycznych. Na temat rozbrojenia moralnego urządzono publiczną konferencję w sali rady miejskiej w Warszawie (wejście bezpłatne), w dziennikach znaleźć można głosy, iż „wniosek rządu polskiego... spotkał się u nas w kraju z jednomyślną aprobatą opinji publicznej, bez względu na dzielące ją różnice polityczne...“

Publicyści nasi, piszący o tych zagadnieniach, przyzwyczaili się mimowoli przybierać ton jakby not dyplomatycznych czy oficjalnych przemówień, powtarzają okrągłe, bankietowe frazesy, z lękliwością nowicjusza drżąc na myśl samą możliwości powiedzenia przypadkiem czegoś... nietaktycznego. Skoro przeto tylu pisarzów i dziennikarzy z takiem upodobaniem przybiera pozy statystów, składających urzędowe deklaracje, niechajże mi też wolno będzie, naodwrót, skorzystać z przywileju literata, co w niekrępującej formie fejletonu z całą swobodą wypowiada swoje osobiste gusty, osobiste poglądy i nastroje.

Wyznam, iż wniosek nasz w sprawie „rozbrojenia moralnego“ razi mnie już samą niezręcznością swej terminologji. Sądzę, że gdyby politycy nasi lepiej zżyci byli z klasycznemi wzorami polskiej mowy, w mniejszym zaś stopniu ulegali wpływom potocznego, międzynarodowego żargonu, nigdyby im nie zrodziło się w głowie wysuwać hasło tak w języku polskim — zabawne. Niezawodnie, instynkt polszczyzny podszepnąłby im odrazu, że francuskie słówko: „*désarmement*“ nie jest bez reszty równoznaczne z polskiem: „rozbrojenie“, że istnieją tu bardzo delikatne, bardzo subtelne różnice odcieni, sprawiające, iż w obu językach dany wyraz nasuwa wyobraźni odmienne zgoła szeregi skojarzeń, a wobec tego spostrzegliby również bez trudu, że pragnąć być „rozbrojonym moralnie“, „rozbrojonym umysłowo“ — to doprawdy idea... rozbrajająca swoją pokorą i swą bezwzględną, skromnych nawet już ambicyj wyzbytą rezygnacją. Kto wyrusza na podbój opinji polskiej, mając takie hasło na sztandarze, ten rzeczywiście jest najzupełniej „bezbronny moralnie“, w najściślejszem tych wyrazów rozumieniu

Nie tu wszakże kres moich zastrzeżeń, natury— że się tak wyrażę—estetycznej. Jak wiadomo, Państwo Polskie rządzone jest od sześciu lat zgórą w sposób dosyć specjalny, w myśl programowej zasady, wypowiedzianej przez wodza „przewrotu majowego“, min. Józefa Piłsudskiego na pamiętnej „herbatce“ dla przywódców klubów sejmowych dn. 29 maja 1926 r.: „Nie chciałbym mieć wyrzutów, że nie doprowadziłem do końca rozpoczętej roboty i że bat nie świstał na ulicach“. Nie zamierzam tutaj bynajmniej podejmować dyskusji na temat dobrych czy też złych stron tego systemu rządzenia, wiem, że do dzisiaj posiada on liczny zastęp entuzjastów i że niedawno jeszcze, w ostatnim, gwiazdkowym numerze krakowskiego „Czasu“ pisał jeden z przywodców konserwatywnego odłamu BB, dr. Jan Hupka: „Bat jest niezawodnie potrzebny... Bez bata nie można rządzić żadnym narodem...“

Ale w tych warunkach właśnie, występowanie w Genewie z hasłem „rozbrojenia moralnego“ jako zasady przy układaniu stosunków międzynarodowych nie wydaje mi się pomysłem najszczęśliwszym, poprostu ze stanowiska tylko dobrego smaku. Cokolwiek możnaby powiedzieć pochlebnego o wartości estetycznej bata-symbolu, bat z uwiązaną dla ozdoby gałązką oliwną napewno nie posiada w sobie ani piękna ujmującego, ani szlachetnej wytworności i w żadnym razie dodatniego wrażenia na nikim wywrzeć nie potrafi. To niema wdzięku. Należy raczej wystrzegać się prezentowania tego rodzaju widoków przed oczy świata...

Wszakże nie tylko względy dodatkowe, uboczne skłaniają mnie do postawy krytycznej w stosunku do przedstawionego przez nas w Genewie memorjału w sprawie rozbrojenia moralnego. Sama treść wniosku, niezależnie od okoliczności, w jakich został złożony, ani też od niezręczności tych albo innych sformułowań, budzić musi zasadnicze całkiem zastrzeżenia. Jakież bowiem wniosek ten zaleca sposoby praktycznego rozwiązania sprawy?

Można streścić je w czterech punktach następujących: 1°) Reforma w prawodawstwie narodowem. Proponuje się przygotowanie „konwencji międzynarodowej, obowiązującej państwa do wprowadzenia do ich prawodawstwa represyj“ za występki takie, jak „publiczne podburzanie do wojny“, „umyślne rozpowszechnianie... zniekształconych wiadomości... mogących zakłócić stosunki między państwami“ i t. d. „Za tym pierwszym etapem mogłyby pójść dalsze, w miarę zacieśniania się węzłów międzynarodowych“. 2°) Prasa. Tutaj wysuwa się „przestudjowanie zarządzeń, które mogłyby być powzięte dla zapewnienia realizacji idei rozbrojenia moralnego w dziedzinie prasowej“. Mowa tu jest zarówno o „akcji rządów jak i akcji zawodowych organizacyj dziennikarskich“. 3°) Wychowanie. Chodzi o to, aby „mentalność młodzieży“ skierowana była „ku pokojowi jako najwyższemu dobru“ (*sic*! niema wyższych?!). W tym celu „rząd polski proponuje stopniowe realizowanie przez zobowiązania międzynarodowych zaleceń i suggestyj“, a więc np. „poddanie ogólnej rewizji podręczników szkolnych“ i t. p. 4°) Radjo, kino, teatr. I tu również oczekuje się pomyślnych wyników od zawarcia „konwencji ogólnej w tej dziedzinie“, zaś „biorąc pod uwagę, że filmy i sztuki teatralne są naogół poddane cenzurze urzędów publicznych, rząd polski proponuje, by państwa zobowiązały się zakazać wyświetlania filmów i przedstawień teatralnych, zdolnych rozjątrzyć stosunki międzynarodowe, z drugiej zaś strony po-

pierać, np. przez uwolnienie od podatków, filmy i przedstawienia propagandy pokojowej".

Jest doprawdy coś bardzo wschodniego i zgruntu obcego najgłębszym podstawom, na których zbudowana jest cała nasza, zachodnio-europejska cywilizacja, w owej przenikającej wszystkie przytoczone wnioski, prostodusznej wierze we wszechmoc przymusu zewnętrznego, „represyj", „zarządzeń", urzędowej „rewizji podręczników szkolnych", „cenzury" (a z drugiej strony „popierania np. przez uwolnienie od podatków"), jako najskuteczniejszych środków przekształcenia psychicznego, moralnego jednostek i narodów, zmiany ich sposobów myślenia, ich „mentalności". Jednostka, z całem bogactwem jej życia wewnętrznego, a przedewszystkiem naród, samorzutny, organiczny związek duchowy, posiadający własne oblicze moralne, od wieków ustalone tradycje i dążenia, zostały tutaj potraktowane jako coś niemal nieistniejącego, jakby tworzywo bezkształtne, które można fasonować w sposób dowolny przy pomocy „konwencyj" i „represyj". Aż podziw bierze, jak przedstawiciele państwa europejskiego mogli nawet wyobrazić sobie przetworzenie umysłowości narodów przy pomocy metod tak... policyjnych. Czyż choćby nasze, miejscowe wyniki prób urabiania „mentalności młodzieży" nie dały im dotąd żadnych, pouczających pod tym względem doświadczeń?

Można zaś łatwo wyobrazić sobie, ile powodów do zatargów, do mieszania się w wewnętrzne stosunki krajów ościennych dałoby zawarcie tego rodzaju konwencyj, jak znakomitą byłoby to dla państw silniejszych okazją do wywierania nacisku na słabsze, celem zmuszenia ich do tłumienia u siebie prądów politycznych, które tej czy innej potencji są nie na rękę. Można łatwo wystawić sobie, ile nienawiści i rozgoryczenia gromadziłoby się w narodach, którym we własnych państwach nie wolno byłoby pisać i mówić szczerze, co myślą o swych współzawodnikach czy wrogach, które wszędzie, w najbardziej wewnętrznych dziedzinach swego życia duchowego (wychowanie, twórczość artystyczna i t. d.) czułyby się skrępowane i kontrolowane przez obcych, na podstawie międzynarodowych zobowiązań. Blady tylko wizerunek tego, jak wyglądałyby takie stosunki, może dać wyobrażenie sobie domu, którego lokatorzy korzystaliby wzajemnie z aparatu podsłuchowego, dla dowiedzenia się, o czem sąsiedzi ich rozmawiają między sobą we własnem mieszkaniu, aby następnie wytaczać im z tego powodu procesy i domagać się... zmiany ich sposobu myślenia...

Ale tu właśnie można zaryzykować przepowiednię, że projekt „rozbrojenia moralnego", jeśli istotnie w pełni zostałby wprowadzony w życie, mógłby wywołać reakcję, która naprawdę dałaby bodaj w wyniku większe zbliżenie się, lepsze zrozumienie się pomiędzy narodami, niż to widzimy obecnie. Ten i ów przypomniałby sobie może, iż ludzkość jest podobno jedną wielką rodziną, w której narody są braćmi, a stosunek braterski, jak wiadomo, na tem przedewszystkiem polega, że się jest szczerym, wyznaje się otwarcie to, co się ma na wątrobie, i raczej walnie się rodzonego w kark, aniżeli zdecyduje się na życie w atmosferze ciągłej nieprawdy, ustawicznego dyplomatyzowania i nacisku. Powstanie jakaś wielka Liga Międzynarodowa dla obrony tego wspólnego wszystkim dobra, jakiem jest prawo każdego narodu do urządzenia swoich stosunków wewnętrznych według własnych poglądów i upodobań, całkowitego, lojalnego poszanowania zasad indywidualności oraz udzielności narodowej. Dewizą Ligi staną się prawdopodobnie hasła: „Wolność Tomku, w swoim domku", „Kto się lubi, ten się czubi", albo coś w tym rodzaju... A nic przecież tak mocno nie zespala i ludzi pojedyńczych i całych społeczeństw, jak szczerość wzajemna i pospołu przeprowadzona walka w obronie wspólnych ideałów...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

SĄD OKRĘGOWY WILEŃSKI W SPRAWIE O MORDERSTWO Ś. P. WACŁAWSKIEGO wydał wyrok, skazujący studenta żydowskiego Wulfina na dwa lata więzienia...

Gdy w listopadzie ubiegłego roku na wszystkich uczelniach polskich zawrzała ostra walka z żydami, prasa, kierowana przez żydów (a więc zarówno „Nasz Przegląd" Szwalbego, jak „Gazeta Polska" Sokołowa, zarówno „Nowe Słowo" Gruenbauma, jak „Naprzód" Haeakera) napadła na młodzież polską, oskarżając ją z pianą na ustach, wołając o policję, o sądy... Sądy wkroczyły istotnie. I oto wyrok wileński przypieczętował prawdę historyczną. Kiedy na szalach sprawiedliwości położono z jednej strony skargi żydowskie o guzy i stłuczone szyby, a z drugiej okrwawiony trup młodego studenta, chłopskiego syna i prawego Polaka, zatłuczonego jak święty Szczepan kamieniami—okazało się, że sprawiedliwość jeszcze działa. Są jeszcze sędziowie w Polsce w szóstym roku rządów sanacyjnych!

Gdybyśmy rozumowali trybem p. Miedzińskiego i jego organów prasowych, oskarżylibyśmy zapewne sąd wileński o antypaństwowość. Podczas zajść żydowskich, „sanacja", która chyba dobrze wiedziała, kto był stroną atakującą (cóż w przeciwnym wypadku warte byłyby informacje i raporty policyjne?) rzuciła lawinę obelg na młodzież polską, zarzucając jej szkodzenie interesom polskim na *forum* międzynarodowem. „Mocarstwowcy", głoszący, że przez zuchwałe nieliczenie się z rzeczywistością wywalczyli ongiś Polsce niepodległość, teraz, gdy przyszło do wyboru między godnością narodową a międzynarodowem lokajstwem, między poparciem słusznych żądań polskiej młodzieży a przebłaganiem i rozpogodzeniem zmarszczonego czoła Żabotyńskiego czy Warburga, nie wahali się ani chwili!

„Antypaństwowa" była młodzież polska, broniąca polskości swoich uczelni przed najazdem żywiołu, nieznanego tam za czasów Jagiellonów, Batorych, Janów Kazimierzów. „Antypaństwowy" jest może sąd wileński, „kompromitujący nas przed zagranicą" ukaraniem żyda-mordercy? Wiadomo bowiem, że Polska sanacyjna jest wprawdzie „mocarstwem", ale „mocarstwem o ograniczonych interesach".

Zapewne p. Miedziński wstydzi się „takich" sądów, tak jak wstydzi się niezawisłych uniwersytetów. To jego rzecz. Ale jakże naiwni są ci sojusznicy Wulfinów, gdy sądzą, że uda im się kiedykolwiek trafić do serc i umysłów młodzieży polskiej. Na złotym moście zgody, któryby chciała zbudować sanacja „ponad głowami agitatorów en-

deckich“ stanie zawsze skrwawiony cień Wacławskiego i zagrodzi Miedzińskim drogę do świata studenta polskiego, do świata, gdzie serca młodzieży biją zgodnie w rytm nakazów dobra ojczystego...

KONFERENCJA ROZBROJENIOWA, ZASIADAJĄCA W GENEWIE, po świętach Wielkiejnocy wznowiła, jak wiadomo, swoje prace. Między innemi, zajmie się obecnie w dalszym ciągu rozważaniem zgłoszonych przez delegację polską „koncepcyj walki z mikrobami nienawiści i kłamstwa“. Terminologję pożyczamy z „Gazety Polskiej“ (z d. 18.II). Jeśli brzmi to niezbyt poważnie, to niewiele więcej pretensyj do powagi rościć sobie może i sam uroczysty termin: „rozbrojenie moralne“. Biorąc rzecz trzeźwo, trudno o coś bardziej kompromitującego, niż ta formuła. To, co suggeruje, kłóci się ze wszystkiemi naszemi tradycyjnemi pojęciami. Gdy wojownikowi wytrącą broń z ręki — przywykliśmy myśleć — pozostaje mu w każdym razie oręż moralny, i tego żadna przemoc odebrać mu nie zdoła. Nie byłby ideałem męstwa książę Niezłomny — rozbrojony moralnie... A tu proponują narodowi, aby oddał broń moralną, zanim nawet wypuścił z ręki broń mechaniczną? Odrazu ostateczność? Tak śmiesznego hasła, jak „rozbrojenie moralne“, nie notują chyba roczniki dyplomatyczne. Powszechne w czasach dzisiejszych upodobanie do metofor, zwłaszcza złych, w literaturze, odbiło się także niefortunnie na elegancji języka dyplomatycznego.

... Lecz gdybyż śmieszna była terminologja jedynie! Nie lepiej przecież jest z istotą rzeczy. Pozornie chodzi o sprawę międzynarodową. W gruncie rzeczy projekt „rozbrojenia moralnego“ skutki mieć może głównie w polityce wewnętrznej. Właściwie chodzi o sprawę polityki wewnętrznej, wyniesioną swawolnie na forum genewskie. Dlatego swobodnie rzecz komentujemy w trakcie prac zasiadającej w Szwajcarji konferencji.

JEŚLI NIE ZWRÓCIMY UWAGI NA NIESZCZĘŚLIWIE OBRAZOWY TERMIN „rozbrojenie moralne“, a postaramy się wniknąć w istotny sens projektu, cóż się okaże? Najważniejszy może punkt propozycyj, to (jak to sformułowała „Gazeta Polska“) — „wypowiedzenie walki ustawodawczej przeciwko propagandzie sprzecznej z dobremi stosunkami narodów, niebezpiecznej dla pokoju, podburzającej do wojny“, etc. Uchwalone zatem miałyby być odpowiednie, z konieczności ogólnikowe ustawy, a zastosowanie ich należałoby do władz administracyjnych, w szczególności do cenzury. Według ich uznania procesy formowania się opinji w sprawach, tak blisko sumienie narodu obchodzących — byłyby dowolnie krępowane. Jeśli ma to być interwencja skuteczna, jeśli dyskusja w tych sprawach częściowo ma być wbita pod ziemię — powstaje sytuacja niemożliwie groteskowa. Broń mechaniczna, narzędzia śmierci, pozostać mają w dawnym komplecie; w tem cały dowcip, że arsenał ma być gotów — niewolno tylko dobrze namyślić się, jak go używać. Strzelać wolno — niewolno zastanowić się, do kogo. Do tego sprowadzałoby się przeszkadzanie środkami prawno-administracyjnemi swobodnemu i rzetelnemu wykształcaniu się opinji w tym przedmiocie. Kto sprawy pokoju i wojny traktuje z pełnem zrozumieniem ich doniosłości, i z odpowiedzialnością, temu nie może zależeć na sfałszowaniu oblicza „pokojowego“ narodów, temu zależeć musi przedewszystkiem na szczerym i prawdziwym wyrazie pokojowych uczuć.—Zapewne, w dyskusji zachować należy pewien umiar; pewna doza szacunku dla innych narodów w każdym razie normalnie obowiązuje; lecz to nic nowego, i pod tym względem wystarczające są przepisy, oddawna będące w mocy. Powie ktoś, że z wprowadzeniem nowych zakazów nic się nie zmieni, chodzi bowiem tylko o symbol, o gest, zrobiony przez państwo na rzecz teorji dobrego współżycia międzynarodowego? Jeśli chodzi tylko o symbol, to zaiste o mało szlachetny. Niema nic zaszczytnego w symbolu, który oznacza, że krępować trzeba nie rękę, lecz tylko mózg i serce. O krępowaniu ręki niema mowy; nikt nie wysuwa u nas hasła rozbrojenia w sensie dosłownym; wszyscy rozumieją konieczność zbrojnego pogotowia Polski po tragicznych doświadczeniach jej dziejów. Czemuż, lekkomyślnie wymawiając słowa „rozbrojenie moralne“, szukać mamy chluby w symbolicznem choćby tylko paraliżowaniu władz umysłowych? Cała sprawa stosunków międzynarodowych, niezmiernie poważna, wymaga traktowania na innym poziomie, niż wskazany przez „koncepcje walki z mikrobami“.

DO REKWIZYTÓW ZUPEŁNIE NIEPOTRZEBNYCH, będących zabytkami innego stylu cywilizacyjnego, a przez nieuwagę dalej używanych — należy we frazeologji ery sanacyjnej słówko „odpowiedzialność“. Rozstawszy się lekko z wielu pojęciami, obowiązującemi w cywilizacji europejskiej, sanatorzy — zauważyliście to — zachowali stylistyczny zwrot o „odpowiedzialności“. Trudno o dźwięk bardziej pusty w dzisiejszych warunkach życia publicznego. Pod tym względem rywalizować może z frazesem o „odpowiedzialności“ chyba tylko frazes o „demokracji“ — stanowiący drugie ulubione zawołanie obozu sanacyjnego. Oba nic nie znaczą konkretnie, a łączą się łatwo w wywodach „ideowych“, np.: „...demokracja jest pewną tendencją polityczną, zmierzającą do tego, aby wielkie masy poczuwały się do współodpowiedzialności za los swego kraju“ — tak jak „poczuwają“ się do swej „odpowiedzialności“ obecni kierownicy polityki państwowej. Cytat wyjmujemy z „Gazety Polskiej“ (z 16.IV). Domniemywa się oczywiście, że żyjemy w takiej demokracji, że masy dzisiaj właśnie wychowywane są w poczuciu „współ“-odpowiedzialności... Frazeologja, pożyczona z innego systemu pojęć, powtarza się bez końca—a wszystko to nie ma sensu, i możliwe jest tylko w społeczeńswie, które tak odwykło od posiadania własnych instytucyj życia publicznego, że nie przyzwyczaiło się sprawdzać, co znaczą konkretne słowa, dotyczące tej dziedziny. Zwolennikom „sanacji“ nie przychodzi na myśl zapytać, jakie są s p r a w d z a l n e kryterja, wedle których można ocenić, czy istnieje odpowiedzialność rządzących, czy jej niema. Że osobiście ktoś kierować się może, w większej, czy mniejszej mierze, czysto wewnętrznem poczuciem odpowiedzialności za los kraju — to nie należy wcale do rzeczy sprawdzalnych. Chodzi, rzecz prosta, o kryterja uchwytne, polityczne. Każdy przyzna chyba, że *régime* obecny tak się urządził, aby odpowiedzialności tak pojętej było jaknajmniej. Operacja przeprowadzona została pod modnem hasłem

urzeczywistnienia „silnej władzy“ (t. j. silnej wobec prawa). Odpowiedzialność wobec sejmu, wobec wyborców, wobec opinji, wobec instytucyj — w praktyce nie istnieje. Nie stało się jednocześnie popularnem hasło „rządów bez odpowiedzialności“. Tkwi w tem pewien anachronizm. A przecież wyobrażamy sobie, jak łatwo byłoby skierować „wychowanie państwowe“ na tory pojęć o państwie, wszczepiających pogardę dla starego fetysza. Jak powstałby wnet nowy, rzeźki realizm, za zaletę polityka poczytujący brak poczucia odpowiedzialności. Jak padałyby słowa: „To człowiek godny zaufania, nieodpowiedzialny...“ I jak teorja nie pozostawałaby już w tyle za praktyką.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W numerze niniejszym zamieszczamy fragment znakomitej „Komedji amerykańskiej“ Adolfa Nowaczyńskiego, która w tygodniu najbliższym wystawiona będzie na scenie teatru Polskiego w Warszawie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jako osobne odbicie z księgi „Kultura staropolska“. ukazał się zarys syntetyczny dra Stanisława Tynca, doc. Uniwersytetu Poznańskiego: „Szkolnictwo i wychowanie, w Polsce XVI w.“ Jest to jeden ze zrębów imponującego gmachu, który kulturze renesansowej wystawił niedawny zjazd Krakowski. Autor szkicu, znany chlubnie pracownik na polu historji szkolnictwa i wychowania w Polsce, ma już za sobą pozycje bibljograficzne niebylejakie. Przeorawszy gruntownie tak nęcącą historyka naszej kultury epokę Komisji Edukacyjnej, ogłosił dr. Tync w r. 1922 monografję o „Nauce moralnej w szkołach Komisji Edukacji Narodowej“; dzieło to, wypiastowane troskliwie, pełne niepospolitej erudycji i powściągliwe w sądzie, zwiastowało szereg publikacyj na miarę wysoką. Debiut naukowy St. Tynca — obowiązywał. Zwróciwszy uwagę badawczą wgłąb wieków, opracował autor z kolei dzieje sławnego gimnazjum toruńskiego w okazałym tomie, wzorowo, z nakładem pracy, którego wymagał przedmiot studjów, „niezwykle sumiennie“, jak pisał w „Nauce Polskiej“, X, znawca tych zagadnień prof. St. Łempicki.

Zarys syntetyczny, z którego zdajemy właśnie sprawę, przedstawia głębokie zmiany, jakich w dziedzinie wychowania dokonał u nas wiek XVI. Teoretyczne zainteresowanie sprawami wychowania idzie w parze z przewartościowaniem szkolnej praktyki. Średniowieczna szkoła ludowa nabiera nowego, arystokratycznego charakteru. Idea wychowania publicznego zdystansuje powszechnie wychowanie prywatne. Powstaje nowa szkoła humanistyczna, przynosząca nowy typ zakładu naukowego: nowożytnej szkoły średniej. Zanika pod tchnieniem odmiennych zgoła czasów religijne piętno szkolnictwa: już nie kandydaci do stopni duchownych przychodzą tu po naukę; szkoła staje się świecką i narodową.

Ważą się oto w zgiełku tumultów wyznaniowych i podwpływem wielości społecznych i kulturalnych czynników nowe programy wychowawcze: *seminarium Ecclesiae* i *seminarium Reipublicae* rozkwitowi szkolnictwa naszego w wieku złotym nadają nieznane dotychczas znamię.

Nie dbając o szczegóły pomniejsze, w trosce o przejrzysty i zwarty zarys, kreśli dr. Tync bieg życia szkolnego w w. XVI, oceniając wyniki wiedzy naszej o epoce. Postulaty końcowe, dalekie zapewne od wyczerpania, ukazują luki i pominięcia badań dotychczasowych.

Szkic dra Tynca zdaje sprawę z dokonań obecnych, wyznacza „wielkie linje rozwojowe“ zdarzeń pierwszorzędnej historycznej doniosłości, a laików nietylko informuje, ale także zaciekawia i pociąga do systematycznej lektury. (T. M.)

*

Bardzo ciekawym materjałem porównawczym dla tych, którzy się interesują twórczością Johna Galsworthy'ego są dwa tomy jego dzieła, wydane ostatnio przez Rój: „Na giełdzie Forsytów“ z ostatniego okresu jego twórczości (książkę tę omawialiśmy w n-rze 11, „Myśli Nar.“) i powieść z okresu poprzedzającego Sagę Forsytów — „We dworze“. Na tych dwóch przykładach łatwo można obserwować ewolucję myśli i talentu twórcy.

Spotykamy tu, miast spokojnej, łagodnej i pobłażliwej postawy autora w stosunku do bohaterów cyklu, szpilki gryzącej i zjadliwej ironji i sarkazmu. Punkt widzenia jest jaskrawo i otwarcie subjektywny, punkt widzenia młodego bojownika o ideę, którego razi tak wiele jeszcze rzeczy w ojczyźnie i całą iście młodzieńczą werwę i temperament wyładowuje, by rzeczy te napiętnować i wyśmiać. W tych radykalnych i liberalnych sądach o szlachcie wiejskiej, duchowieństwie, wyścigach, klubach, rozwodach, pod któremi kryje się ostry żal do Anglji, że nie jest lepsza, że nie jest „postępowa“, że rutyna i tradycja znaczą więcej, niż serce i indywidualność zdolnego człowieka, trudno poznać owego spokojnego, objektywnie patrzącego angielskiego *gentleman*'a, twórcy noweli „Soames i sztandar“, tak zda się przepojonej umiłowaniem wszystkiego, co angielskie.

Dopiero w końcowych rozdziałach poznajemy tak dobrze nam znany, spokojny patos Galsworthy'ego, patos, który zawiera się w rytmie słów tak wyraźnym, że żaden przekład nie jest w stanie go zatrzeć, znajome motywy, z pomocą których tak przekonywające i szczere obrazy przyrody potrafi malować. A nadewszystko w końcowych właśnie scenach najwyraźniej przejawia się owa pasja do obserwacji psychologicznej, jaka każe tworzyć tyle typów znakomicie odmiennych na dość mało różnorodnem choć pięknem tle. Ta galerja postaci, dopełniających się wzajemnie, tworzy właśnie ów zwarty i pełny obraz klasy społecznej, który stał się punktem ciężkości „Sagi Forsytów“. Dwie centralne postacie, pani Pendyce i pana Pendyce, wraz z nieodłącznym i symbolicznym wyżłem, nakreślone są mistrzowsko, jednakże również dopiero ostatnia część powieści to mistrzostwo uwydatnia. W świetle tej książki rozumiemy, dlaczego Galsworthy nie może rozstać się z „Sagą“. Sam dopiero stopniowo przejmuje się ludźmi, których tworzy, a wizje ich stopniowo krzepną i zyskują na wyrazistości, pozwalając autorowi wypowiedzieć się swobodniej.

Przekład p. Stelli Landy-Landauowej (?) jest nieznośnie poprawny. Trudno o nim cokolwiek więcej powiedzieć. Chyba to, że trudno uwierzyć, jakoby chłop nosił bryczesy, nawet jeśli to jest chłop angielski i że pies, kiedy mu się nadepnie na łapę, skomli, piszczy, ale nie wyje. (A. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Sprawę handlu zagranicznego Niemiec omawia książka Józefa Saal p. t. „*Strukturwandlumgen des deutschen Aussenhandels nach dem Weltkrieg*“ str. 180 Bonn 1931 r. Książka zawiera dużo materjału statystycznego, dotyczącego handlu zagranicznego Niemiec i jest przykładem metod, według których należy badać zmiany, dokonywające się w handlu zagranicznym. Wzorując się na tych metodach, byłoby rzeczą pożyteczną przeprowadzenie analogicznych badań, dotyczących polskiego handlu zagranicznego. W krótkiej notatce trudno jest oczywiście analizować te metody, ani też nie można podawać zbyt wiele danych statystycznych. Musimy więc ograniczyć się podania paru najciekawszych cyfr. Tak więc wywóz niemiecki z 10097 miljonów marek w 1913 r., spadł na 9197 miljonów w 1928 r., udział zaś w handlu światowym z 13% w r. 1913 na 9,9% w r. 1928. Wzrost eksportu maszyn z Niemiec do niektórych krajów zamorskich, jak do Indyj (1913 r.— 3,84 milj. marek — 1928 r. — 7,04 milj. marek) do Japonji (1913 r. — 9,72 m. m., 1928 r. — 14,9 m. m.) do Chin (1913 r.— 2,91 m. m., 1928 r. — 4,78 m. m.) — są jeszcze jednym dowodem szybkiego rozwoju przemysłu w tych krajach. Wzrost konsumpcji na głowę kakao z 0,77 kg. w 1913 r. na 1,21 w 1928 r., oraz wzrost importu owoców południowych z 100 m. m. w 1913 r. na 251 m. m. w 1928 r.. świadczy wymownie, że mimo klęsk gospodarczych w okresie poprzedzającym dzisiejszy kryzys, wzrasta znacznie poziom skali życiowej. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Z PRZYKROŚCIĄ musimy stwierdzić, iż wystawa Konrada Krzyżanowskiego, urządzona przez Instytut Propagandy Sztuki w dziesiątą rocznicę jego śmierci, została zorganizowana bardzo niedbale. Trudno sobie tłumaczyć to brakiem czasu na zebranie dostatecznej ilości dzieł, odpowiednio reprezentujących artystę, gdyż termin dziesięciolecia oczywiście niespodzianką nie jest. Znikoma ilość zgromadzonych obrazów

w stosunku do całego dorobku z zmarłego, umniejsza w pamięci zwiedzających wielkość jego czynu artystycznego, mówi o nim niedokładnie i tem samem, zamiast być hołdem (jak każda pośmiertna wystawa jubileuszowa), złożonym jednemu z największych i najbardziej rasowo polskich malarzy naszych, czasów ostatnich, wyrządza mu raczej krzywdę. Nie zaznaczono niczem charakteru wystawy i na afiszu, anonsując nazwisko Krzyżanowskiego w ten sam sposób, jak i pierwszy występ „Loży wolnomalarskiej“.

Po tych paru zastrzeżeniach, zajmijmy się dziełami wystawionemi, które zajęły pół dużej sali Instytutu. Zestawienie ich z sąsiadującem malarstwem doby obecnej, pozwala na wysnucie pewnych wniosków. Pierwszym z nich będzie stwierdzenie, iż na malarstwo Krzyżanowskiego czas wpływa jak na dobre wino, dodając mu jeszcze tężyzny. Ten Majster może wisieć w największych galerjach, obok najznakomitszych potrecistów i nic w tak niebezpiecznem porównaniu nie straci. Artystów zachwyca jego malarstwo i tu trzeba sobie uświadomić jaka jest zasadnicza różnica między techniką wielkiego „Krzyżaka“, a popisami technicznemi dzisiejszych wirtuozów pędzla. Dlaczego podziwiając pierwszą, protestujemy na tem miejscu bardzo często przeciw metodom drugiej? To nie o sposób kładzenia farby chodzi, ani o różnice fakturowe. Źródło różnic kryje się daleko głębiej. *Primo*: technika Krzyżanowskiego nie jest rezultatem jakichś pomysłów, zrodzonych tylko przez wiedzę, doświadczenie i poszukiwania, a wypływa przedewszystkiem z pobudek uczuciowych i temperamentu artysty. *Secundo*: mimo tak olbrzymiego znaczenia, zajmuje właściwe miejsce w hierachji środków wypowiadania się. Oto w skróceniu kolejność procesu powstania obrazu: artystę „wzięła“ jakaś głowa, zobaczył ją po swojemu i w obrazie chce opowiedzieć, jak ją widzi. Używa wszystkich środków, jakie wydają mu się po temu najodpowiedniejsze i to jest właśnie t e c h n i k a — wykonawcza, realizująca jego wizję. Oczywiście, jej doskonałość jest później wartością samą przez się, jak i piękno języka doskonałego pisarza, ale to środek, a nie cel. Natomiast dzisiaj wielu malarzy tak pasjonuje samo zestawienie barw, położenie farby, że zapomnieli przytem w jakim celu właściwie to robią. Trudno potem wymagać, aby publiczność — nawet najkulturalniejsza — domyśliła się, co chce artysta powiedzieć, kiedy on sam często nie wie.

Rozmyślnie zwróciliśmy uwagę tylko na jedną, ale jakże zasadniczą cechę malarstwa Krzyżanowskiego, zestawiając ją ze współczesnemi usiłowaniami w tej samej dziedzine. Wydawało się nam to bardziej właściwe w recenzji, ze względu na aktualność sprawy, niż pobieżne — w tygodniku — naszkicowanie całokształtu jego twórczości, zresztą ogólnie znanej, omawianej przez monografów, bardziej do tego powołanych, niż sprawozdawca. Na zakończenie, jeszcze jedna uwaga. Istnieją artyści, którzy, gdyby im nie było dane wypowiedzieć się w jednej dziedzinie sztuki, zrobiliby to samo w innej. Istnieją tacy, dla których możliwem jest wypowiadanie się wielu zupełnie odmiennemi sposobami, malarstwem i poezją np. Ale są i tacy poeci, malarze, muzycy, dla których potrzeba uprawiania swego zawodu jest tem samem, co oddychanie; oni t y l k o w t e n s p o s ó b mogą i s t n i e ć. Takim był Krzyżanowski.

*

Po „Bractwie św. Łukasza“ i „Szkole Warszawskiej“, trzecią edycją uczniów prof. Pruszkowskiego jest „Loża wolnomalarska“. Należą do niej: Bronisław Gniazdowski, Hanna Henneberg, Bolesław Herman, Edmund J. Kaniewski, Janina Knothe, Antoni Kudła, Bronisław Linke, Leonja Nadelmanówna, Jadwiga Pietkiewiczowa, Mieczysław Szymański, Franciszka Weinles-Themerson, Feliks Topolski, Kazimierz Zielenkiewicz i Aleksander Żyw.

Z tych trzech stowarzyszeń można już utworzyć sejm artystyczny. „Bractwo“ to prawica, „Szkoła“ centrum a dla „Loży“ pozostaje miejsce lewicy, ku któremu ona najwyraźniej zmierza. Ponieważ jedno z haseł lewicy brzmi: „proletarjusze i t. d. łączcie się“ więc i „Loża“ się łączy, tymczasem z malarstwem Paryża. Wiele tu ciekawych *trick*'ów malarskich, rozmaitych figlów - miglów, ale szczerości trochę mniej; poczekajmy jednak, to przecież pierwsze kroki. Tymczasem stwierdzamy, że panna Janina Knothe obdarzona jest sporą dozą krytycyzmu w stosunku do prądów najnowszych, chce być współczesna, ale po swojemu (brawo!), że obraz p. Szymańskiego p. t. „Łódka“ wydaje nam się pracą najbardziej poważną i dociągniętą w kolorze i wyrazie. Osobną pozycję stanowi p. Linke, artysta zupełnie już dojrzały. Jego rysunki podkolorowane o silnem podłożu satyry społecznej (w temacie) nikogo nie zamierzają kokietować swoją estetyką. Rozumiemy to dobrze, iż p. Linke nie chce aby jego sztuka była jak ten emetyk z ogłoszenia, który „przeczyszcza łagodnie, nie przerywając snu"; powiedziałby jednak o wiele więcej, gdyby nie nadużywał — jak to mówią muzycy — pedału. I szept bywa przejmujący, nietylko krzyk, i w swej wymowie nieraz daleko silniejszy. Sztuka p. Linkego jest zdecydowanie niemiecka.

*

W „Zachęcie“ M. Nehring wystąpił z kolekcją akwarel. Artysta już nieraz dał się poznać jako dobry technik malujący szeroko, soczyście i śmiało. Wystawione obecnie prace dowodzą, iż malarz znajduje się w nowej fazie, nietylko może poszukiwań technicznych, ale wysiłków zmierzających ku pogłębieniu strony kompozycyjnej obrazu, oraz jego ujęcia. Usiłowania tego rodzaju dobrze świadczą o artyście i dowodzą, że jego ambicja nie pozwala mu poprzestać na już zdobytych pozycjach.

*

Razem z Nehringiem wystawił Konstanty Sopoćko. Kolekcja jego prac składa się z 25 drzeworytów, ciętych z dużą swadą i prezentujących nam grafika o całkiem już zdecydowanem obliczu. Sopoćko ma poza sobą spory dorobek jako wybitny ilustrator książek, przeważnie dla dzieci. I jego prace drzeworytnicze mają charakter ilustracyj, co podkreślamy jako cechę bynajmniej nie ujemną. Obrazki drzeworytnika przedstawiają zwykle moment jakiejś akcji, tu zawsze coś się dzieje, jest to nietylko wyobrażenie, ale i opowieść. Z radością stwierdzamy, że grafik nie boi się zwierząt, ani ludzi; nie wykręcając się od tego rodzaju tematów, przeważnie daje sobie radę z rysunkiem. Niestety, nie o wszystkich naszych grafikach można to samo powiedzić.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

„MAMMONARCHIA"

GROŹNYM objawem rozkładu w Stanach Niozjednoczonych jest obok tysiąca innych także i to „odbronzowywanie" względnie oczernianie i plugawienie prezydentów i bohaterów narodowych. Słowo: groźny z tej racji jest tym razem na miejscu, ponieważ nastroje rewolucyjno-bolszewickie rosną tam w masach i krociach w tempie piorunowo błyskawicznem. Początki tego ruchu komunistycznego datują się już od dawien dawna. Instruktywną pod tym względem jest książka Johna A. Dyche'a p. t. *„Bolshevism in American Labour Unions"*, rok 1926, zaczem rok w pełni *plenty* i *prosperity*, kiedy Złoty Cielec tył do niemożliwych rozmiarów i yankesi zagarniali cały świat pod swoje stopy. W r. 1927 przyszedł pierwszy atak apoplektyczny na Wall-Street, w r. 1929 drugi, w 1931 trzeci. Dzisiaj zgórą 20 miljonów zaczyna powoli zamierać, literalnie z głodu, a następne 20 miljonów jada tylko konserwy z puszek, zimne konserwy. *Misery*, nędza poczwarna ogarnia wszystkie warstwy kościstemi pazurami...

I takie społeczeństwo, takie sto miljonów dostaje raz po razu w ręce książki rewelacyjne o swych wielkich ludziach, przedstawionych dla odmiany (*varietas delectat*) w najobrzydliwszem oświetleniu. I to wszystko dosłownie w jednym roku, w jednym sezonie.

Zaczęło się od plugawienia Kolumba. Awanturnik, aferzysta, a może i żyd? No i przedewszystkiem nie on odkrył Amerykę. Dawno była odkryta. Przez Duńczyków, przez Wikingów, przez Skandynawów. Przenigdy atoli przez katolickich Hiszpanów czy Włochów. Na ten temat prace naukowe, odkrycia i „odbronzowania". Niech sobie będzie bohaterem południowych republik. „Nordiski" zdecydowały, że Amerykę odkryli „Nordiski", Germany.

Potem przyszła kolej na Waszyngtona. Autor: Rupert Hughes. Bohater był brutal, żołdak, karciarz, ordynarny, a co więcej, wcale nie chciał żadnej niepodległości. Są dowody, że był do końca lojalnym rojalistą. Chciał paktować ugodowo jeszcze w ostatniej chwili. Zwykły sobie, przeciętny szlagon, plantator, farmer, którego przyjazne okoliczności wywindowały na szczyty...

Potem poszedł na „fotel elektryczny" cenzurowanego zamordowany jawnie Abraham Lincoln. Nawiasem mówiąc, trzech prezydentów zamordowano w Ameryce w zamachach publicznych, to jest tyle, ilu... carów rosyjskich.

O Lincolnie kilka lat temu napisał piękny dramat angielski Rostand czy też angielski Mereżkowskij, poeta Drinkwater z Birmingham. Już po nim gruby tom monografji beletrystycznej Emil Ludwig Cohn. Kiedy Maurois swoim francuzom stawiał jako wzór (*„Il nous faut des chefs"*) szefa (w grubej monografji) Disraelego, E. Ludwig Cohn jednak wybrał Lincolna. Wzór i model wszelkich cnót i przymiotów liberalno-mieszczańskich, Negrów oswobodziciel, monolit charakter, symbol moralnego amerykanizmu.

Przeciw takiemu, powszechnemu przyjmowanemu poglądowi występuje Chicagoski adwokat, poeta i pisarz Edward Lee Masters. Wydał przedtem jedną książkę p. t. *„Spoon River"*, t. j. antologję, zbiór nagrobków różnych wielkich ludzi, bohaterów, znakomitości. Makabryczny pomysł z dużą złośliwością przeprowadzony. I na tem widocznie się wprawił. Było w tych poetycznych nagrobkach i *epitaphium* tego aktora Bootha, który w teatrze zastrzelił Lincolna (15 kwietnia 1865).

Kiedy teraz na Amerykę zaczęła iść fala krachów, bankructw i rozsypywanie się złotej wieży Babel, mecenas E. Lee Masters wydaje książkę o Lincolnie. Uczciwy, ale ograniczony. Nie prostota, ale prostactwo. Ordynus, tępak, źle wychowany, bez charakteru, bez jednej idei, narzędzie innych. Mądra żona, ale ciężko nieszczęśliwa. Wróg wszelkiej duchowej kultury. Pacyfista i piernik. Przeciętny i tuzinkowy. Z generałem Grantem nawet porównać nie można. Przypadkowa karjera. Historyczna omyłka. Nic bohaterskiego. Nic z regenta. Wielkość dla mikrocefalów i pigmejów.

Adwokat Chicagoski nie jest odosobniony. Po Mastersie zabrali się do Abrahama D. C. Leitz, C. E. Mac Cartney i z kolei zdzierali zeń „skórę śpiżową". Lichy adwokat, kauzyperda, ignorant, leń, brutal, bez żadnych moralnych skrupułów, przypadkowy szef państwa, który szczęśliwie przypadkowo przeszedł do historji dzięki błogosławionej kuli mordercy. Inaczejby pamięć jego przeklinano.

Z tych trzech książek oczywiście prasa amerykańska, która wychodzi w 34 miljonach egzemplarzy dziennie, umiała ostatecznie dawać referaty i recenzje. I taki pogląd na bohatera narodowego, który ma 1000 pomników, tysiąc ulic, placów, sal, hotelów... rozszedł się po miljonach...

I tak znów jeden posąg zrzucony z piedestału w oczach myślącego ogółu: *Vanitas vanitatius et omnia vanitas.*

Teraz już łatwiej poszło galopujące w swej gorączkowości skalpowanie innych, mniej czcigodnych *prominents*, przedewszystkiem prezydentów.

Prezydenta Tafta obrobili S. Duffy i A. Butt.

Wilsona wziął na widelec krytyki H. O. Vardley. Już przedtem przystrzygło kilku pisarzów wilsonowską aureolę. Tego to już nie oszczędzali jeszcze za życia. Erotoman, syfilis, paranoja, belfer i kompilator, otoczony żydami i fałszowanymi pułkownikami (House). Pantoflarz i ramoł. Na elekcję w r. 1912 dały: Standard Oil 275.000 dolarów. T. Morgan 150.000 dolarów, Harriman 150.000 dolarów. Perkins 160.000 dolarów, Gould 100.000 dolarów.

Wybory Warren Hardinga kosztowały plutokratów 20 miljonów dolarów. Lalka i szef bandytów. Biały Dom za Hardinga roił się od kryminalistów, kontrabandzistów, aferzystów. Erotoman wreszcie, ukarany i otruty przez zdradzaną żonę. Są na ten temat całe broszury.

Hooverem „zajęli się" w osobnych książkach John Knox i John Hamill. Konterfekty wypadły fatalnie. „Monografje" obecnego prezydenta były *best seller*'ami obecnego sezonu.

Calvin Coolidge już za swej prezydentury uchodził za literalnie najpłytszego i najprzeciętniejszego „Babbitta" z powieści Sinclair-Lewisa. Był tak samo pionkiem w rękach kilkunastu mammonarchów. Krezusów, Nababów i Midasów; obecnie pisze codzień pogawędki-fejletony grubo płatne. Jest figurą tak zmienną i żadną, że nie poświęcono mu nawet książki z rewelacjami. Nigdy nie był zabronzowiony, więc nie trzeba go odbronzowywać.

Tak to w Stanach Zjednoczonych traktuje się dzisiaj, ostatnio, nacjonalne kolosy. Bez respektu i bez pardonu. W ten sposób mniej więcej *mutatis mutandis* odnoszono się w dawnej Rosji do kolejno następujących po sobie imperatorów-batiuszków. Nie drukowano o tem książek, ale w tradycji ustnej i w opinji ogółu uchodzili to za kretynów, to za matołów, to za obłąkańców zdecydowanych.

Do bardzo interesujących rezultatów myślowych i historjozoficznych analogij można dojść już po przeczytaniu dwóch książek polskiego i dziś nieco niesłusznie zapomnianego autora W. Gąsiorowskiego to jest: „Królobójców" (1910) i „Nowa Kolchida" (1931).

Jeżeli się nadto jeszcze przeczytało jakieś 30 (trzydzieści) książek o dzisiejszej Dollarico, oczy otwierają się szeroko i widzi się olbrzymie, rozległe perspektywy antycypacyjne.

Odbronzowywanie regentów i szefów przygotowuje atmosferę psychiczną do wielkich, olbrzymich, bezapelacyjnych przemian i perturbacyj. *America first!*

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Kto lubi zabawić się widowiskiem, jak fałszowaną dostojnością i powagą pokrywa się niezręcznie fakt upokarzającej zgoła zależności od żydów, niech zbada „umiar", „zwięzłość", „niechęć do sensacji", z jaką niektóre pisma polskie podały wiadomości o procesie w sprawie zamordowania ś. p. Stanisława Wacławskiego i o skazaniu mordercy, żyda Wulfina przez sąd wileński. Jakiż to „petit" niepozorny, jakie króciutkie, na najbardziej niewidocznych miejscach ukryte notatki, jakby rzecz cała nikogo zgoła w społeczeństwie polskiem nie obchodziła! Warto przejrzeć poszczególne pisma pod tym kątem, warto z a p a m i ę t a ć...

*

W syjonistycznym „Naszym Przeglądzie" p. Pierrot Appenszlak ubolewa, że „przy udzielaniu nagród artystycznych m. st. Warszawy — pomija się w sądach konkursowych przedstawicieli organizacyj żydowskich... Niema żydów w komitetach nagród: artystycznej i muzycznej. Wprawdzie — n a c z e l e k o m i t e t u n a g r o d y m u z y c z n e j s t a n ą ł p. w i c e p r e z e s R a d y M i e j s k i e j, ż y d — lecz reprezentuje on w tym wypadku czynniki municypalne". Więc jednak jest żyd, nawet s t o i n a c z e l e, ale mimo to, naród wybrany jest pokrzywdzony...

A dalej publicysta syjonistyczny tak argumentuje: „Nie można ignorować faktu, że trzecią część ludności Warszawy stanowią żydzi — i conajmniej jedna trzecia pieniędzy, przeznaczonych na nagrody — pochodzi z kieszeni obywateli żydów".

Bardzo szczęśliwie, gdy pisarze żydowscy zaczynają już opierać swe żądania na zasadzie stosunku procentowego. Oczywiście musi to ich wkrótce doprowadzić do uznania słuszności wniosku w sprawie *numerus clausus* na wyższych uczelniach.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.